Nr. 50. Kraków, dnia 10 grudnia 1910. ROK 1.

TYGODNIK ILUSTROWANY NARODOWY

Pokrzywdzeni — ale gdzie?

Sprawa żulińska znalazła bardzo silny odgłos za granicami Galicyi, a zwłaszcza w Rosyi. Opinia publiczna, dziś kierowana przez polityków nacyonalistycznych, usposobiona jest dla nas nieprzejednanie i niesympatycznie. Sprawę żulińską wyzyskano naturalnie przeciwko nam, przedstawiając nas jako hakatystów i gnębicieli. W Dumie toczyła się właśnie dyskusya nad szkolnictwem polskiem i ruskiem (szkolnictwem prywatnem, bo publiczne jest jedynie szkolnictwo rosyjskie) — i wówczas posłowie rosyjscy, zwalczając szkołę polską, jako argumentu użyli Żulina i chcieli tem dowieść, że Polacy prześladują Rusinów.

Argument okazał się bezskuteczny. Bo *afera żulińska jest, jak okazało śledztwo sądowe od* a *do* z *kłamstwem;* dziecko zmarło na gruźlicę, nauczyciel ani dziecka nie uderzył nigdy za odmawianie ruskiego pacierza, a nawet specyalnie poduczał je śpiewów i modlitwy ruskiej. — Gdy jeden argument rosyjski spalił na panewce, drugi zarzut, jakoby Polacy uciskali rzekomo Rusinów okazał się chybiony.

Na zarzut ten przewódcom nacyonalistów rosyjskich: hr. Bobrińskiemu, prof. Georgiewskiemu i prasie rosyjskiej tak odpowiedział „Dziennnik Petersburski“:

„Jaśnie oświecony panie hrabio, szanowny panie profesorze i cała czcigodna kompanio z Now. Wrem. i Świeta! W Galicyi mieszka 3 miliony „ukraińców“ (Rusinów). Posiadają oni przeszło 2.000 szkół ludowych z wykładowym językiem „ukraińskim“, 5 gimnazyów i 10 katedr uniwersyteckich.

„W Rosyi liczą 27 milionów ukraińców, t. j. dziewięć razy więcej niż w Galicyi. Jeżeli zatem chcecie bronić ukraińców w Galicyi, to przedewszystkiem: 1) wprowadźcie do 18 000 szkół ludowych na Ukrainie, język ukraiński; 2) założcie 45 gimnazyów ukraińskich; 3) na uniwersytecie kijowskim, odeskim, charkowskim, w ekaterynosławskim instytucie górniczym, politechnice kijowskiej, charkowskiej i nowoczerkaskiej i w seminaryach duchownych utwórzcie po 10 katedr ukraińskich, i po 4) nie zamykajcie „Proświt“ na Ukrainie. Niech choć jedna z nich założy — wzorem lwowskiej „Proświty“ — 2.286 czytelń o 89 950 członkach, 262 kółek dramatycznych, 254 chórów i 466 sklepów współdzielczych. Zróbcie to, panowie, bo znajdzie się jakiś wszechpolak galicyjski, który w imieniu Polaków zażąda od społeczeństwa rosyjskiego zadosyćuczynienia za „ucisk“ bratniego narodu ukraińskiego, który w Galicyi ma szkoły, gimnazya, instytucye oświatowe i czyni zdumiewające postępy w rozwoju kulturalno-narodowym...“

Oaza niemiecka w Galicyi.

(Dokończenie).

Władze otoczyły opieką nowo powstającą gałęź przemysłu. Zastrzeżono miejscowym tkaczom wyłączne prawo sprzedaży sukna w Białej i otworzono im zbyt w całej Polsce.

Dla poparcia przemysłu tkackiego uwalniano gminę od różnych kategoryi podatków i ciężarów, a liczne dokumenta nadanych przywilejów wykazują, że *polskie* rządy podłożyły podwaliny dla przyszłego miasta. W drugiej połowie 17 wieku spotykamy już nazwę: „królewskie miasteczko Biała“. Tytuł ten i herb formalnie nadany został przywilejem Augusta II w r. 1723. Przywileje te rozszerzył król Stanisław August Poniatowski. W okresie tym była Biała miastem o ludności mieszanej pod względem narodowym i wyznaniowym. Przemysł tkacki rozwijał się pomyślnie.

Równą opieką otoczono też prawa handlowe. Handel ze Ślązkiem stał się obok przemysłu źródłem dobrobytu dla mieszkańców.

Rok 1772 pośrednio, bezpośrednio zaś r. 1799 zadecydował o narodowym charakterze Białej. Przywilej cesarza Józefa II podniósł Białę do godności król. wolnego miasta, a silny napływ niemieckich przybyszów spowodował nagły skok w rozwoju. Uciecha, z jaką autor stwierdza fakt, iż od 1772 r. nie polski, lecz austryacki urzędnik rozkazywał miastu, które odtąd wchodziło w skład zachodnio-europejskiego państwa, jest najwymowniejszem świadectwem braku kultury u przedstawiciela żywiołu napływowego w naszym kraju i upozorować się nie da śmiesznemi skargami na niekorzystne dla miasta polskie rządy.

Od czasu przywileju Józefa II datuje panowanie niemieckie w Białej i wyodrębnienie tego miasta z polskiego otoczenia. Autor usiłuje ten stan objaśnić zapomocą frazesu o „różnicy kultury", który jednak nie wytrzymuje krytyki wobec tego, że niemieckość mieszczaństwa nie była zjawiskiem lokalnem w Polsce. Niemieckie mieszczaństwo stanowiło w pewnej epoce dziejów żywioł silny — związane jednak od wieków z tradycyą i interesami kraju, z czasem wydało wielu dzielnych obywateli Polsce.

Dziś Biała przedstawia bardzo poważną placówkę niemiecką na kresach, tem ważniejszą, iż oddziaływującą silnie na okoliczne wioski polskie. Nie mniej wszakże samoobrona polska stawia zapory postępowi niemczyzny. W latach ostatnich wielkie zasługi około spolszczenia miasta położyło Tow. Szkoły Ludowej, które w krótkim przeciągu czasu stworzyło w Białej kilka szkół, stanowiących ostoję przed germanizacyą naszych dzieci i będących ośrodkami narodowego życia polskiego.

A. J. R.

W sprawie żydowskiej.

II.

Obok kwestyi ruskiej, co do której stanowisko społeczeństwa jest zdecydowane, najważniejsza dla naszego zaboru to sprawa żydowska. Od tamtej jest nie mniej poważną, zwłaszcza, że w sprawie żydowskiej opinia jest zupełnie nieustalona i rozbieżna — a i z tego względu, że ma za sobą bardzo silne poparcie materyalne największych instytucyi finansowych i największych finansistów.

Przypatrzmy-ż się jej szczegółowiej.

Oddawna żydzi siedzieli w krajach polskich, dokąd przyszli, gnani przeciwnymi losami z Zachodu i ze Wschodu. Element zachodni, dzięki niemieckiemu charakterowi naszych miast w wiekach średnich i znaczeniu stosunków handlowych z Niemcami, wziął górę nad wschodnim, a za nim przyszedł zepsuty język niemiecki w formie żargonu. Z ogólnej liczby 11 milionów żydów (wedle obliczeń z r. 1905) w prowincyach zabranych, na Litwie i Rusi, gdzie w r. 1905 i 1906 były słynne pogromy żydowskie, mieszka 2 450,000 osób (czyli 13 proc. ludności tych krajów; w Królestwie Polskiem 1 635,000 osób, tj. 14 proc. ludności Królestwa); w Galicyi 810,000 osób, tj. 11 proc. całej ludności galicyjskiej. Jakkolwiek po pogromach ten stosunek procentowy uległ niewątpliwie zmianie, pozostanie faktem, że na ziemiach polskich, zamieszkałych przez 38 milionów ludności, mieszka 5 milionów żydów (prawie połowa ogólnej ich liczby).

Liczba żydów w Galicyi, w stosunku do ogółu jej ludności, rosła stale od r. 1857 do 1890. Wzrost jej w tym czasie podniósł się z 7·32 proc. na 11·7 proc., aż spadł w minionem dziesięcioleciu. Ledwo 5 proc. mieszkańców żydzi stanowili w powiatach: krakowskim, limanowskim, myślenickim, nowotarskim, wadowickim i wielickim; 5—10 proc. stanowili w 18 powiatach zachodnich i 13 wschodnich; 10—15 proc. ludności w 4 zachodnich i 31 wschodnich; 15—20 proc. w wschodnich (Brody, Drohobycz, Kołomyja, Stanisławów), powyżej zaś 25 proc. ludności stanowią oni w Krakowie i Lwowie.

Byłoby cenne dla dopełnienia obrazu scharakteryzowanie stosunku, jaki stanowią żydzi w rozmaitych zawodach. Uczynił to w swej pracy o stosunkach zawodowych prof. Buzek.

Pozostaje faktem, iż ekonomiczna specyalizacya handlowo-finansowa jest siłą i słabością żydostwa. Gdy życie gospodarcze naszego zaboru, zwłaszcza życie ludności wiejskiej, uległo dużej zmianie po zniesieniu poddaństwa, okazało się ogromnie potrzebne pośrednictwo, a tem samem wzrosły ceny pośrednictwa i podniósł się zarobek żydów. Wprowadzenie włościanina galicyjskiego w odrębny świat gospodarczy, ułatwiło silne powiększenie się liczby drobnych kramarzy i drobnych lichwiarzy. Kiedy rozwój gospodarczy kraju i włościan okazał się za słaby, sfery interesowane poczęły obchodzić się bez pośredników.

Wydano przeciw lichwie ustawę, która nic nie pomogła, ale przez szerzenie idei asocyacyi i przez tworzenie spółek bardzo poważnie żydów zaatakowano. Kółka Rolnicze spełniają wielkie zadanie i dla tego je tak gwałtownie żydzi zwalczają.

Opanowali żydzi w kraju i handel i pośrednictwo. Nasz rodzimy handel ledwo podnosi się

z pieluch. Dopiero na silnem oparciu Kółek rolniczych i społeczeństwa, które bezwzględnie poprze swoich, można liczyć na jaki lepszy rozwój.

Opanowali żydzi instytucye kredytowe. Znaczna większość kas i banków istnieje za pieniądze żydowskie, utrzymuje żydów: jest rzeczą charakterystyczną, że, jak wykazuje sprawozdanie stow. gospodarczych i zarobkowych za r. 1909., największe procenty pobierały kasy żydowskie. Nie mówimy o czarnej giełdzie w Krakowie i Lwowie, funkcyonujące po handlach podejrzanych i hotelach najgorszego rodzaju — ale w kasach drobnych po małych miasteczkach, w kasach urzędujących po niemiecku wyzysk ludności jest największy.

Dziś żydzi zaczynają opanowywać urzędy, zawody wolne (adwokaturę, medycynę, inżynieryę), stwarzają coraz więcej inteligencyi, która wypiera naszą. Zagrażają nam coraz bardziej pod względem ekonomicznym, — ale nie tylko pod względem *ekonomicznym,* bo także pod względem: *politycznym* i *moralnym.*

***

Patryotyzm czynu.

Społeczeństwo ma prawo wymagać od swych obywateli pracy społecznej i nie może znosić bierności szczególnie tych, którzy za wdowi grosz społeczeństwa dobili się stanowisk i warunków dobrego zarobkowania, ale nie myślą o odwzajemnieniu się działalnością na niwie społecznej, lecz wiodą żywot egoistyczny, nieużyteczny, pasożytniczy.

Odpowiada się zwykle, że przecież w każdem społeczeństwie ogół jest bierny, a tylko jednostki pracują. Istotnie, może; ale my żyjemy w nieco odmiennych warunkach od innych społeczeństw i jesteśmy skazani na samopomoc społeczną.

W tych warunkach powinno być u nas zasadą powszechnie przyjętą, że do obowiązku pracy społecznej poczuwać winien się każdy obywatel światły, z wyrobioną samowiedzą obywatelską, tembardziej inteligencya. Tymczasem mamy całe rzesze inteligencyi, co bardzo wysoko i dumnie dzierżą sztandar obywatelskiej swej godności i bardzo wygórowane mają pojęcia o swoich prawach obywatelskich, o swojem znaczeniu w społeczeństwie, o słusznych rzekomo pretensyach do wybitnych stanowisk, ale zupełnie ignorują pretensye społeczeństwa, by spełniali obywatelskie obowiązki, by brali czynny udział w codziennych, mało może efektownych, a tembardziej mozolnych pracach społecznych.

Gdzie są widoki na korzyści materyalne, tam pracowników rzadko kiedy brak. Inaczej niestety, wygląda z pracą czysto idealną: tę pozostawia się „idealistom"; jeśli im „się chce" poświęcać się, niechaj to czynią, to niewątpliwie pochwały godne, ale nie każdy jest do tego „powołany". W ten sposób uspakaja swe sumienie jeden po drugim, przechodzą mimo, stają na uboczu bezczynnie, pozostawiając „idealistów" ich losowi — razem ze społeczeństwem.

A los ten bywa wskutek tego nieraz niewesoły. Jeden człowiek pracuje za dziesięciu; idzie tu, idzie tam, z zebrania na zebranie, z narady na naradę; przepracowuje się, wyczerpuje i w rezultacie zniechęca. I to, zniechęca się nietylko dlatego, że mu osobiście nic z życia nie pozostaje, bo z tą myślą można się podobno „oswoić" — z człowieka robi się maszyna do pracy, nieczuła na takie drobnostki, jak głos wewnętrznego ja. Ale to przekształcenie się człowieka w maszynę do pracy jest niebezpieczne dla samej pracy i jej wyników: w pracy tej tkwi mniej żywotności i twórczości, mniej indywidualności i oryginalności, mniej zapału i bogactwa myśli; staje się ona szablonową, rzemieślniczą, suchą, martwą.

A co w pracowniku zazwyczaj najbardziej budzi zniechęcenie, to świadomość, że wszelkie jego wysiłki ani w przybliżeniu nie odnoszą upragnionego, pożądanego celu. Gdyby odnośny działacz skupił wszelką swą inicyatywę i pracę na jedną instytucyę, dokonałby w niej niewątpliwie poważnych rzeczy, ale rozdrobnienie i rozstrzelenie sił na cały szereg organizacyi musi dać rezultat niedostateczny. Pracownik ów czuje, że tak jest i opadają mu skrzydła, nieraz bardzo przedwcześnie.

Typy takie znamy; są one wytworem naszych niezdrowych stosunków, które w pracy społecznej, szczególnie idealnej, nie znają podziału pracy. Taki podział jest oczywiście tylko wówczas możliwy, jeżeli jest między kogo dzielić. Oby to

sobie uświadomiły szerokie koła naszej inteligencyi, i to już nie w interesie jednostek, przeciążonych pracą, ale w interesie społeczeństwa, którego potrzeby wołają i krzyczą o pracę, bo tyle jeszcze leży ugorów odłogiem, a tyle gleby nie dość głęboko pługiem przeoranej. Oby uświadomiono sobie ostatecznie, że prawdziwy patryotyzm, to *patryotyzm czynu,* a nie deklamacyi, czy rezoneryi.

ZIMA.

Ostatni pacierz zwiędłych liści, co jak strzępy złotych lecą gwiazd... ostatni szept suchych, czarnych badyli i źdźbeł... ostatni poszum wichrowych lamentów, poprzez szare smugi pól i szkielety krzewów...

Oto zbliżasz się w welonach mgieł i w puch srebrzystego otulona śniegu. O maro śmiertelna!

Idziesz w najsmutniejszym akordzie dzwonów, śmierć zwiastujących; idziesz w stalowej zbroicy lodu, w dyademie skier ruchliwych u czoła i wieje od ciebie melancholia pustek przeraźliwych i przygniatający smutek daremnego trudu. A kędy przejdziesz, dech twój lodem tnie; umiera wszystko, kostniejąc pod śmiertelnym płaszczem, gronostajowym, królewskim, niepokalanym płaszczem — w beznadziejnych łzach.

O ty, nieubłagana martwico.

Widziałam cię niegdyś w dziecięcych przedświtów moich godzinie. Nad mroźnym, szerokim tchnień twoich całunem płonęły w mgłach purpurowych zachodu pochodnie, — nie rozumiałam cię wówczas, gdyż w duszy mojej słońce codzienną melodyę zwycięstwa grało; świat mi gorzał baśnią złota; morze szumiało szczęść niewygasłych obietnicą; sady w noce, siewne gwiazdami, płonęły białem kwieciem i radość była ze mną i we mnie, i życie było młode, niespętane, pełne ruchu i rozkoszy.

Bajka dziecinna — cud godzin krótkich.

Bom cię w sercach ludzkich nie widziała wtedy — ty, co radością nie jesteś nikomu.

Dziś... dziś czara ułud aż do dna chciwemi wysączona usty; za mną tęsknota łka, przedemną pusta droga — i idę poprzez mrok zapamiętały, szukając zórz, aby z nocy powstał dzień.

. . . .

Przez szerokie, senne, białe pola; przez milczących ugorów bezkres płynie cicha jakaś pieśń; trąca rude badyle, co sterczą niby dzidy połamane, któremi walczą w noc wichrowatą płanetniki; idzie po fali zadumanych zmierzchów i akordem wpada w stuletni bór.

I oto w dźwiękach onej pieśni, co jak anioł białe skrzydła ku gwiazdom wznosi, błądzi tęsknota uśpionej ziemi.

Błądzi i pochyla się nad każdym kurhanem i szepce coś z cicha i sercom w dzwonach wspomnień bić nakazuje; obiecuje może, że znów przyjdzie słońca promień i jako biała gołębica ogarnie ziemię ukochaną miłosnem światłem swojem i życie rozbudzi. *O. B.*

Elektryczność w domu.

W tryumfalnym swym pochodzie elektryczność zdobyła już świat cały i niema chyba pola czy zakresu, do którego nie przeniknęłaby ta siła niewidzialna a potężna. Człowiek obdarzony zdumiewającym zmysłem wynalazczym, w drodze naukowych spostrzeżeń, badań i doświadczeń, ujarzmił tę siłę potężną, zaprzęgł do swoich usług, doszedł do tego, że uspakaja ona mnóstwo jego potrzeb. Zarówno w życiu publicznem, jak i w przemyśle, w komunikacyi i w medycynie wszędzie występuje elektryczność jako dzielny pomocnik i wierny współpracownik człowieka.

Nie kreślimy tu dziejów elektryczności, wspomnimy więc tylko pokrótce, że siłę tę znano już w odległej starożytności. Nazwa jej użyta po raz pierwszy przez Gilberta w r. 1600, pochodzi od greckiej nazwy bursztynu elektron, na bursztynie bowiem najpierw poznano własności przyciągania i odpychania elektrycznego, o czem już wiedział mędrzec starożytny Tales. Wieki więc całe czekała ta siła na spożytkowanie i doczekała się nareszcie czasów, w których zapanowała nad światem. Obecnie nawet pomyśleć nie można, żeby człowiek mógł się bez niej obejść. Stała się niezbędnym składnikiem jego życia, zarówno zbiorowego, jak i domowego.

Do domu wprowadził ją człowiek dopiero w ostatnim czasie. I tu znalazła obszerne, wielostronne zastosowanie nawet w gospodarstwie domowem. Otrzymujemy od niej światło i ciepło — w jaki zaś to osiąga się sposób wyjaśnimy treściwie.

Światłem elektrycznem nazywamy objawy świetlne, wzbudzane za pośrednictwem energii



Na biwaku w 1831-szym roku.

elektrycznej, w szczególności zaś przez prąd galwaniczny. Są one następstwem działań cieplikowych, jakie sprowadza prąd galwaniczny czyli elektryczny. Przewodnik metalowy, po którym prąd przebiega, doznaje podwyższenia temperatury, rozgrzewa się. Ilość wywiązanego ciepła jest tem większą, im większy jest opór przewodnika, a nadto proporcyonalna jest do kwadratu z siły czyli natężenia prądu. Jeżeli więc prąd jest dostatecznie silny, a opór dostatecznie znaczny, drut rozgrzać się może aż do rozpalenia, zaczyna świecić, rozżarzając się najpierw do czerwoności, następnie do białości, a wreszcie nawet ulega stopieniu. Im mniejsza jest masa danej części przewodnika, tem wyżej wzmaga się jej temperatura, wywiązana bowiem ilość ciepła nie rozkłada się na znaczną masę, im więc cieńszy jest drut, tem się łatwiej rozżarza, gdyż obok drobnej masy, przedstawia on nadto dla małej swej średnicy wielki opór przebiegowi prądu. Przy jednakich nadto warunkach, drut, wyrobiony z metalu, który jest gorszym przewodnikiem, rozgrzewa się silniej; cienki drut platynowy łatwo do oślepiającej białości rozgrzany być może.

Ponieważ w walce prądu elektrycznego ze złym przewodnikiem wytwarza się znaczna ilość ciepła, technika przeto zakrzątnęła się nad spożytkowaniem i tego objawu do celów praktycznych. Jakoż za pomocą różnych metali otrzymują się obecnie przewodniki, które stawiają prądowi opór dostateczny tylko na tyle, ażeby je ogrzewać bez ich zapalenia. Na tej znów zasadzie skonstruowano najrozmaitsze przyrządy ogrzewalne, z których korzysta gospodarstwo domowe.

Ważną rolę w gospodarstwie gra przyrząd, mający postać kilku spojonych ze sobą obręczy, za pomocą którego można ogrzewać wodę dowolnie w każdym naczyniu. Składa się z drutu bronzowego izolowanego i umieszczonego w powłoce niklowej; drut ów przy zamkniętym prądzie rozgrzewa się tak silnie, że ciepło przechodzi przez powłokę niklową i udziela się wodzie lub innemu przeznaczonemu do ogrzania płynowi. Ważną jest ta okoliczność, że ogrzewacz można stosować do każdego naczynia, bez względu na to, czy znosi ono ogień czy nie. Przyswędzenie płynu jest tu zupełnie wyłączone, a cała manipulacya jest nawet dla małego dziecka łatwa. Ogrzewacze takie wyrabiają rozmaitej wielkości. Są więc tak duże, że można niemi zagrzać całe wiadro wody;

są znów i małe, stosowne do ogrzewania flaszek mleka dla dzieci.

Mamy dalej elektryczne imbryki i kociełki do herbaty, elektryczne maszynki do kawy. Wystarcza połączyć taki imbryk, kociełek lub maszynkę z bateryą, a w kilka minut bez ognia, co zaś ważniejsze — bez swędu i kopcia, mamy do rozporządzenia wrzącą wodę na herbatę lub kawę. Tu przyrząd ogrzewalny składa się z bronzowego drutu spiralnego, owiniętego dokoła porcelanowego jądra. Posiadając zapas bateryi, można się temi przyrządami posługiwać swobodnie nawet w podróży.

Bardzo praktyczne są żelazka do prasowania. Rozgrzewają się one bardzo prędko, nigdy nie są zbyt gorące, przez co unika się przypalenia bielizny. Dogodność istotnie wielka. Jaka różnica pomiędzy żelazkiem dotychczas używanem, rozgrzewanem wkładaną wewnątrz jego „duszą", którą trzeba długo grzać w ogniu, lub żelazkiem, rozgrzewanem za pomocą węgli. Przy tych narzędziach nieodłącznym był swąd z węgla i z przepalonej blachy, nie mówiąc już o brudzeniu rąk kopciem, o oparzelinach i przypalaniach prasowanych przedmiotów. A ileż to przy nich zdarzało się nieszczęśliwych wypadków, gdy naprz. żelazko zsunęło się ze stołu i upadło na główkę kręcącego się przy stole dziecka, lub gdy samo dziecko dorwało się do rozpalonego żelazka. Przy żelazkach elektrycznych wszystkie te niebezpieczeństwa i niedogodności są usunięte.

Kuchenka elektryczna już swym eleganckim pozorem budzi sympatyę. Jakże się ona różni od owych wielkich potworów kuchennych, przy których trzeba się brudzić, prażyć i parzyć. Posiada dowolną ilość fajerek, a każdą z nich można utrzymać w dowolnej temperaturze. Tu więc można gotować rosół, obok dusić pieczeń czy zrazy, dalej smażyć naleśniki i t. p. Żadnych węgli, żadnego rozniecania ognia, żadnego popiołu ani innego pyłu. Taka kuchnia pozwala zachować czystość bezwzględną, gotuje, smaży i piecze bardzo szybko, a przytem tę jeszcze posiada dogodność, że mało zajmuje miejsca i że można ją ustawić dowolnie, gdzie kto chce.

Wszystkie te zalety posiada piecyk elektryczny, zbudowany według pomysłu Giranda. Jest on z pozoru podobny do zwykłych pieców żelaznych, ale powłoka jego złożona jest z ogniw termo-elektrycznych. Każde z tych ogniw składa się z dwóch płytek: jednej niklowej i drugiej ze stopu antymonowo-cynkowego. Dla ochrony ogniw od żaru, otoczone są one od strony wewnętrznej listkami azbestowemi, krążenie zaś gazów tak jest zapewnione, żeby ogrzewanie było jednostajne. Piec tego rodzaju służy przedewszystkiem do ogrzewania mieszkania, ale zarazem w pokrywających go ogniwach termo-elektrycznych wytwarza się prąd elektryczny, który zasilać może lampy elektryczne, opisane wyżej przyrządy, oraz do innych jeszcze celów może być użyty. Wywiązującą się za dnia energię elektryczną można gromadzić w akumulatorach i przechowywać na oświetlenie wieczorne.

W gotowalniach pań elektryczność występuje w postaci przyrządów do fryzowania, suszenia i ochładzania włosów. Jako maszynka do ogrzania rurek, przewyższa maszynki spirytusowe, przy których o wypadek jest bardzo łatwo; dlatego w garderobach większych teatrów już takie maszynki elektryczne pozaprowadzano, nietylko ze względów praktycznych, ale także ze względów bezpieczeństwa. Do suszenia włosów po umyciu głowy służą dwa przyrządy elektryczne: jeden dostarcza stałego, ciepłego prądu powietrza, który szybko suszy włosy najbujniejsze; drugi dostarcza chłodnego prądu powietrza, który się puszcza na włosy po ich osuszeniu. Urządzenie obu tych przyrządów jest wcale nieskomplikowane. W powłoce metalowej jest umieszczony mały elektromotor, który porusza szrubę wentylacyjną; szruba wytwarza silny strumień powietrza, ten zaś, zanim wyjdzie z metalowej powłoki, musi się przesunąć przez kraty z drutu miedzianego, silnie ogrzane za pomocą tego samego prądu elektrycznego, co porusza motor. W aparacie drugim jest takie same urządzenie, z tą różnicą, że wytwarzany strumień powietrza nie ogrzewa się i chłodny przechodzi przez włosy.

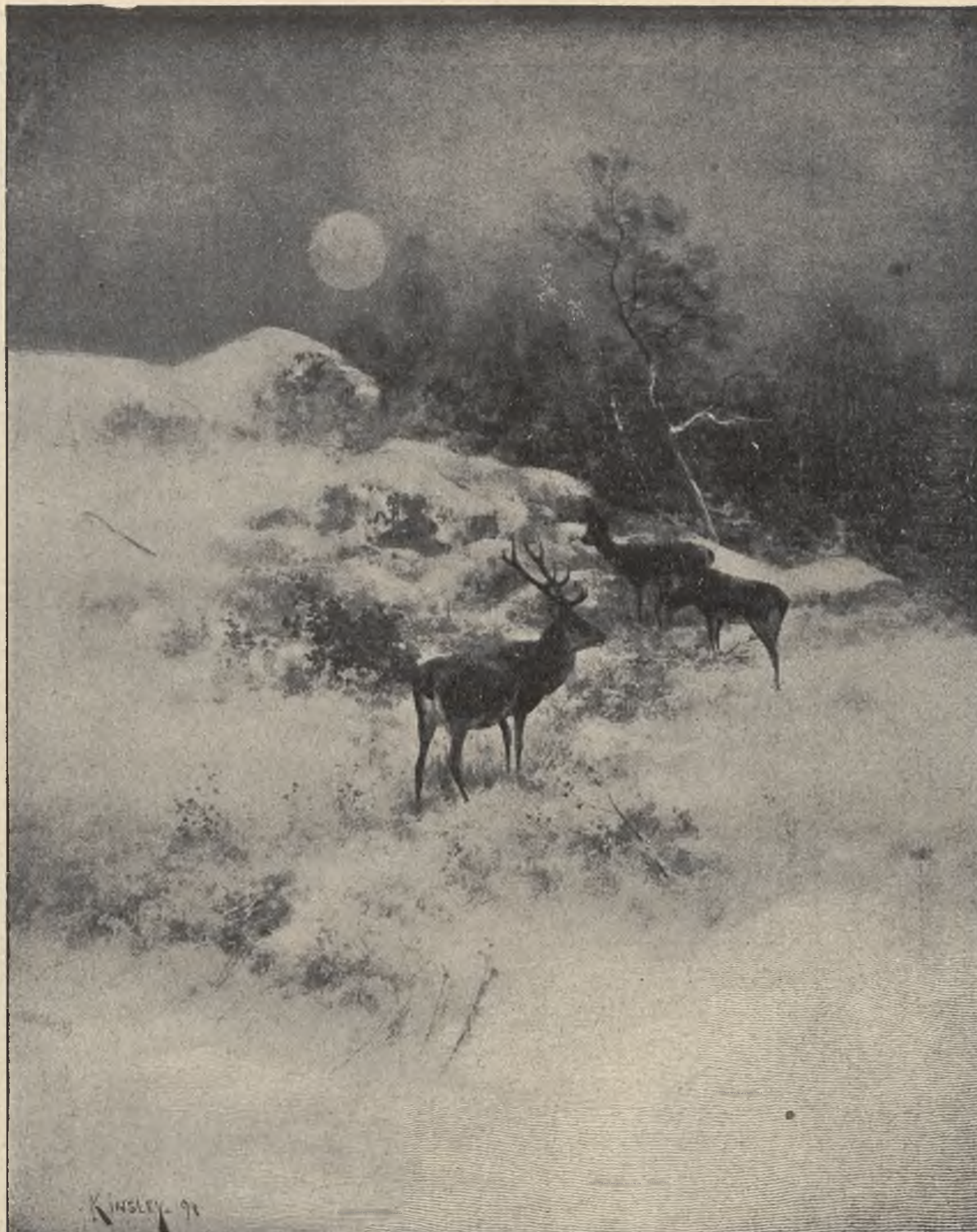
Istnieją jeszcze przyrządy do ogrzewania łóżek, które nadto mogą być stosowane jako okłady gorące w celach leczniczych, ku czemu ich forma płaska się nadaje, oraz wiele innych praktycznych wynalazków, za któremi przemawia oszczędność na czasie, warunki hygieniczne i łatwość użycia. Wszystkie te udogodnienia są pożytkowane w większych miastach — gdyż tam zwykle wszelka nowość debiutuje, zanim zostanie uznaną i przyjętą, a potem dopiero rozpowszechnia się w mniejszych środowiskach, aż wreszcie uzyskuje ogólne prawo obywatelstwa.

Ten, który rządzić własnym majątkiem nie umie, jakże krajem rządzić potrafi.

Królowa Marya Leszczyńska.



WYWŁASZCZENIE.



Przy księżycu.

Ze świata studentów japońskich.

Tokio mieści 50,000 studentów, zbierających się z całego świata. Nauka, udzielana owym młodym ludziom, żądnym wiadomości, obejmuje wszystkie dziedziny wiedzy ludzkiej; największym atoli wzięciem cieszą się wykłady obcych języków. Nauki języków, którą Japończycy uważają za najważniejszą ze wszystkich nauk, udzielają w szkole państwowej. Uczą tam języka angielskiego, francuskiego, niemieckiego, rosyjskiego, hiszpańskiego, włoskiego, chińskiego, koreańskiego, mongolskiego, wogóle wszystkich języków i dyalektów, których się używa w Europie i Azyi. W owym instytucie, nie mającym w całym świecie równego sobie, uczą wszystkich języków do-



Przyjaźń.

kładnie. Sala, w której się zbierają profesorowie języków, daje obraz przyszłego parlamentu narodów. Brodaci Słowianie, eleganccy Francuzi, opaśli Niemcy, Włosi, których gesty i ruchliwość niezwykła wprowadzają Japończyków w zdziwienie, majestatyczni Hiszpanie, poprawni Anglicy — to jest mały wybór sił europejskich. — Potem następują Azyaci. Na ich czele kroczy Chińczyk, z wrodzoną sobie dumą i zarozumiałością; obok niego zjawia się Koreańczyk, który zawsze wygląda, jak gdyby sam szukał pana i nauczyciela, mongolski Lama o twarzy duchownego, rewolucyjny Hindus, muzułmańscy Malaje, propagujący religię przy każdej odpowiedniej, czy też nieodpowiedniej sposobności. — Uczniowie wyższej szkoły językowej nie tracą czasu: w ciągu tygodnia mają ni mniej ni więcej jak trzydzieści godzin nauki. Owo „kucie“

zabija w nich naturalnie wszelkie zarodki i porywy oryginalności; stają się w końcu maszynami, robiącymi mechanicznie zapiski. W każdym razie trzeba nadmienić, iż nie wszystkich studentów w Tokio ożywia żądza wyuczenia się wszelkich języków. Około 8000 pobiera naukę prywatnie i uczy się wyłącznie języka angielskiego. Studenci japońscy są wogóle bardzo biednymi. Niema ofiary, której nie poniosłaby rodzina japońska, jeżeli chodzi o wykształcenie dzieci. „Pewnego dnia — tak donosi korespondent „Japan Magazine“ — bawiłem w nędznej i małej gospodzie wiejskiej. Właściciel nawiązał ze mną rozmowę i opowiedział, że swoje dzieci wychowuje w Anglii. Jego syn studyuje w Birmingham, a córka jest uczennicą Westfield College w Hampstead...“

Z archiwum serca.

Książka o sprawach sercowych, względnie stosunkach sławnych ludzi, książąt, polityków, poetów, myślicieli, wodzów i muzyków w przyjemnym tonie pogadanki opowiadająca, a napisana przez p. Kohuta, ukazała się niedawno. Znajdujemy w niej następującą krwawą przygodę z życia Napoleona III:

Wkrótce po zawarciu małżeństwa cesarza z Eugenią Montijo, ukazała się w Paryżu zjawiskowo piękna hrabina Castiglioni. Cały elegancki świat stolicy dobijał się o zaszczyt wkraczania w progi jej salonów. Za łaskawe słówko z jej ust rujnowali się ludzie; teatry oddawały najlepsze loże obleganej piękności do rozporządzenia, otwierały się przed nią salony ministrów i dostojników.

Napoleon III zobaczył ją przy jakiejś sposobności i urodą jej był tak zachwycony, że kazał ją zaprosić na oficyalny bal do Tuilierów. Zalotom jego nie mogła się oprzeć i zgodziła się, żeby ją nazajutrz w jej mieszkaniu, w hotelu Beauron, odwiedził. Tajna policya jednak, która stale towarzyszyła cesarzowi w jego najbardziej nawet sekretnych schadzkach, i tym razem wysłała agenta Griscellego ku ochronie monarchy.

Kiedy cesarz w towarzystwie generała Fleury — obaj naturalnie po cywilnemu — wszedł na pierwsze piętro hotelu, otworzyły się przed nim drzwi; pokojówka wpuściła cesarza i generała, podczas gdy Griscelli pozostał na schodach. W kilka minut ukazała się znów pokojówka i klasnęła w dłonie trzykrotnie. Tajny agent, który zawsze i wszędzie wietrzył zbrodniarzy, rozejrzał się uważnie dokoła. Naraz, zobaczył jakiegoś człowieka, wyłaniającego się z ciemności i zbliżającego się do mieszkania hrabiny Castiglione. Zanim ten jednak zdołał drzwi osiągnąć, padł martwy na ziemię. Dobrze wymierzone pchnięcie sztyletu Korsykańczyka, przeszyło mu serce. Na odgłos hałasu, spowodowanego upadkiem ciała i krzyku pokojówki, wypadł generał Fleury, zatkał jej usta i zamknął w sąsiednim pokoju, podczas gdy piękną Włoszkę zaryglował w jej własnem mieszkaniu, — poczem opuścił z cesarzem niegościnny hotel. Zwłoki zasztyletowanego sprzątnięto pocichu.

Napoleon zrobił potem scenę Griscellemu, że schadzkę przerwał w taki krwawy sposób. „Znowu z mojej przyczyny popłynęła krew ludzka!“ — wołał wzruszony boleśnie. — „Może ten człowiek był niewinny, bardzo być może, że był kochankiem tej kobiety!“

„Kochankowie nie mają zwyczaju nosić przy sobie takich listów „miłosnych“ — odpowiedział Griscelli, składając przed Napoleonem nabity rewolwer i sztylet.

Na rozkaz cesarza, tego samego dnia jeszcze odstawiono hrabinę Castiglione do granicy włoskiej.

Papiernia na Nowej Ziemi.

Największe w Europie przedsiębiorstwo wydawnictw peryodycznych, Almagamated Press, które wydaje: „Daily Mail“, „Daily Miror“, „Evening News“ oraz 40 codziennych pism prowincyonalnych i tygodniowych w Anglii, postanowiło założyć własną fabrykę papieru. W tym celu za 30 milionów franków zakupiło w północno-wschodniej stronie wyspy Nowa Ziemia 2 miliony akrów lasu, w miejscowości zwanej Grand Falls i niezwłocznie przystąpiło z jednej strony do trzebienia lasu, a z drugiej do budowy fabryki. Ta ostatnia już funkcyonuje; rozporządza maszynami o sile 30,000 koni, a niebawem ta siła motorowa będzie powiększoną do 80,000 koni. Mowa tu naturalnie o koniach parowych. Obecnie olbrzymia ta fabryka wyrabia 90 metrów papieru na minutę, a pierwszy jej ładunek, wynoszący 2,000 tonn papieru, wystarczającego na wydrukowanie 40 milionów egzemplarzy dziennika o 12 wielkich



U wróżki.

stronnicach, został już dostarczony do Londynu, za pomocą specyalnie wynajętego parowca.

Jednocześnie z założeniem fabryki, powstało w tej najbardziej pustynnej części Nowej Ziemi miasto, liczące obecnie 3,000 mieszkańców, nie mówiąc już o wielkich obozowiskach drwali, rozproszonych po lesie. Drzewa ścinane są przez jesień i zimę; pracę tę wykonywają rybacy, gdyż ich właściwe zajęcie odbywa się tylko w lecie. Ścięte drzewa czekają na ruszenie lodów rzecznych, wtedy spławiane są do młynów hydraulicznych, które przerabiają je na materyał fabryczny, t. j. na miazgę. Zwoje papieru, wytworzonego z owej miazgi drzewnej, przewożą się koleją żelazną do Botwoord, a stamtąd szybkie parowce wiozą ładunek do Londynu. Przewóz do Londynu trwa dni cztery.

TO I OWO.

Deszczowe drzewo.

Peru odznacza się niezwykłem bogactwem swej Flory.*) Na specyalną uwagę zasługuje rosnący w tym kraju gatunek drzewa, które Indyanie nazywają „Tamais kapi", co znaczy „drzewo deszczowe". Duże to drzewo o gęstych liściach posiada własność kondensowania pary, znajdującej się w powietrzu. Na liściach drzewa osadzają się krople wody, które następnie w postaci gęstego deszczu spadają na ziemię.

W czasie sezonu suszy, kiedy rzeki wysychają a rozpalone powietrze posiada dużo pary, kondensacya odbywa się bardzo energicznie; wtedy grube krople wody nietylko spadają obficie z liści i gałęzi drzewa, lecz woda sączy się i po jego pniu,

*) Flora = świat roślinny.

odwilżając duże przestrzenie ziemi dokoła drzewa deszczowego.

Ponieważ drzewo deszczowe można kultywować bez wielkiego trudu, a gatunek ziemi jest mu prawie obojętny, rolnicy peruwiańscy zamierzają skorzystać z własności tego drzewa i, rozsadzając go na polach, zapobiedz w ten sposób stałym w tym kraju posuchom.

Co kraj — to obyczaj.

W wielu pułkach angielskich praktykuje się zwyczaj hodowania pewnego czworonogiego zwierzęcia, którem się wszyscy żołnierze z wielką troskliwością opiekują. Więc jeden pułk hoduje psa, inny barana, inny znów konia i t. p. Zwierzę takie jest faworytem pułku, wszyscy otaczają je szczególnemi względami. Gdy się zestarzeje i zdechnie, miejsce jego zastępuje potomek w prostej linii, przyczem zajęcie tego stanowiska odbywa się wśród uroczystości, określonych przez tradycyę. Pułk Walijski, który pełni straż w pałacach królewskich, zastępując gwardyę królewską, gdy ta odbywa doroczne ćwiczenia wojskowe, ma wspaniałą kozę białą. Jak wszystkie zwierzęta pułkowe, również i koza Walijczyków posiada swego specyalnego pielęgniarza, który ją dogląda i który ją prowadzi podczas parad i przemarszów.

Armia angielska słynie z pięknych i bogatych mundurów; czworonodzy faworyci pułków angielskich są niemniej bogato przystrajani w suto haftowane złotem i srebrem czapraki, oraz w rozmaite inne ozdoby. Żołnierze wysilają się na pomysły tych ozdób i chętnie się na nie składają. Zwierzęta rychło przyzwyczajają się do otoczenia, rozpoznają alarmy i hasła wojskowe, a ich zmyślnością żołnierze się chlubią i szczycą.

Największy kapelusz na świecie.

W oddziale włoskim wystawy powszechnej w Brukseli można oglądać kapelusz słomiany, w wnętrzu którego, jak się niedawno przekonano, można pomieścić 24 młodych dziewcząt. Kolos ten, mający w średnicy 3.25 metra, jest wysoki 80 centymetrów, a jego obwód wynosi 10 metrów, przedstawia rozmiar przemysłu włoskiego w kapeluszach słomianych. Chcąc go sporządzić z jednego kawałka, nie można było robić tego kapelusza olbrzymiego ani w żadnym pokoju, ani też lokalu fabrycznym, ponieważ drzwi przeszkadzałyby jego wyniesieniu na zewnątrz fabryki. Zrobiono go zatem pod gołem niebem. Lecz nie było też wcale rzeczą łatwą, wyszukać wóz celem transportu do Brukseli. Do wykończenia tego największego kapelusza na świecie zużyto plecionki słomianej długości sześciu kilometrów.

Może znajdzie on zastosowanie po skończonej wystawie w dyplomacyi międzynarodowej. Jego rozmiary pozwalałyby nawet najbardziej niezgadzające się z sobą interesy — sprowadzić razem „pod jeden kapelusz“.

Śmierć przez pomyłkę.

Z folwarku Andrzejówka w pow. ananjewskim gub. chersońskiej, własności Laskowieckiego, wysłany został chory na różę robotnik do domaniewskiego szpitala ziemskiego. Szpital był, jak się okazało zamknięty.

— A ty od kogo? — zapytał chorego felczer.

— Robotnik od Lisawieckiego.

Tak robotnik przekręcił zupełnie nieświadomie nazwisko chlebodawcy swego, Laskowieckiego. Pomyłkę tę przepłacił jednak drogo, bo życiem własnem. Nieszczęście bowiem chciało, że w Dumaniewce był mieszkaniec nazwiskiem Lisawiecki, ale żyd. To też felczer, usłyszawszy od chorego żydowskie nazwisko, wpadł w gniew straszny.

— Jakie on ma prawo przysyłać do nas chorych, kiedy szpital zamknięty.

W dwie godziny później grzybył lekarz, który nie zbadawszy jak należy chorego, orzekł, że to ukąszenie osy i kazał choremu udać się do odległego o 25 wiorst szpitala w Mostowoje. Osłabiony chorobą robotnik, uszedłszy kilka kroków, upadł. Całą dobę, jak piszą „Birż. Wied.“, przeleżał bez żadnej pomocy, aż w końcu ktoś się zlitował nad nim i zawiadomił lekarza, że pod stertą siana umiera jakiś człowiek.

I teraz dopiero po dokładnem zbadaniu chorego, przekonano się, że to róża i wzięto go do szpitala. Sam sobie jednak winien. Dlaczego zamiast Laskowiecki powiedział Lisawiecki? He, he!...

Nasze ilustracye.

Na biwaku w 1831-szym roku. Przedstawiona tu jedna z nocy zimowych, ponurych, podczas powstania listopadowego. Żołnierze polscy pokrzepiają się strawą i napojami, przywiezionemi przez dzielne obywatelki-polki, które bez względu na niebezpieczeństwo woziły pożywienie do obozu.

Wywłaszczenie. Chłop polski, dręczony biedą, zapożyczył się u żyda, a żyd lichwiarz rad z tego, bo wie, że gdy chłop raz pomocy jego zapotrzebuje, już się później bez niej nie obędzie. Zdziera lichwę od pożyczonych pieniędzy szatan pejsaty i w ten sposób doprowadza biedną rodzinę do ruiny. Widzimy to na tym obrazku. Żyd pożyczał, dopókąd całe mienie chłopa nie stało się jego własnością. Teraz zjawił się u biedaków i dopomina się o „swoje“, a ludzie biedni łaski jego błagają, chyląc mu się do kolan. Żyd-pijawka jednakże prośby ich nie uwzględni, zabierze wszystko, a ludzi zostawi bez dachu nad głową, wyśle ich na „dziady“.

Przy księżycu. Noc zaległa i cisza, wyszły więc zgłodniałe sarenki i rogacze szukać pożywienia, bo głód im dokucza. Stanęły i patrzą uważnie, strzyżąc uszami, czy jaki zły człowiek nie czyha na ich życie.

Przyjaźń. Ogromnie miły obrazek. Dwie młodości: dziecięcia i pieska zrozumiały się i tulą się w przyjaźni do siebie i patrzą uważnie na coś, co ich obojga zajmuje.

U wróżki. Dziewczyny, żądne wiedzieć, co je w życiu spotka, poszły do wróżki, która ma im przepowiedzieć tę przyszłość ich nieznaną. A stara wiedźma siedzi i gwarzy o szczęściu i miłości i tych wszystkich niespodziankach, które je czekają. Dziewczyny zasłuchane, zapatrzone, marzą o tem weselu, które im stara przepowiada.

DLA ROZRYWKI

Gry towarzyskie.

Zgadywanie podług cienia.

Zawiesiwszy białe prześcieradło w drzwiach, ustawia się świecę na stoliku, oddalonym od światła, tak, aby cień przechodzących pomiędzy prześcieradłem a świecą, padł na prześcieradło.

Jedna osoba, przez los wyznaczona, siada tuż przy zawieszonem prześcieradle i zgaduje podług cienia, kto za nim przechodził. Każdy zmienia postawę, pokazuje różne giesty, aby nie dać się poznać, gdyż w przeciwnym razie na niego przypada zgadywanie.

Cenzurowanie osoby.

Jedna osoba z towarzystwa zostaje losem lub dobrowolnie cenzurowaną, druga oskarżycielem. Podczas kiedy się pierwsza oddala na stronę, druga obchodzi wszystkich, pytając się każdego z kolei, co ma do powiedzenia na cenzurowanego. Od oskarżyciela wymaga się dobrej pamięci, aby się nie mylił i spamiętał wszystko, co mu się powiedziało i to powtórzył cenzurowanemu, który po wydanym przez każdego o nim sądzie, wraca i siada w środku towarzystwa. Uda się ostatniemu odgadnąć za pierwszym razem osobę, która o nim swoje zdanie wypowiedziała, wtedy ta zastępuje jego miejsce; w przeciwnym razie podpada karze i gra rozpoczyna się na nowo. Jak w ogóle w każdej grze, tak tem więcej w tej, każdy powinien się wystrzegać uchybienia cenzurowanemu niegrzecznemi przymówkami.

Gra w sylaby.

Wszyscy grający siedzą, tworząc kółko. Jedna z osób bierze chustkę skręconą lub rękawiczkę i rzuca nią w któregoś z towarzystwa, wymawiając pierwszą sylabę jakiegoś wyrazu, n. p. „pa“. Osoba, do której chustka została skierowaną, powinna prędko dodać jedną lub dwie sylaby, t. j. tyle, ile potrzeba do utworzenia całego wyrazu. Tym sposobem w powyższym przykładzie może dodać: „rasol“, „ra“, „rawan“ itp., co utworzy wyrazy.

Po danej odpowiedzi, grający rzuca z kolei chustkę innej osobie, wymawiając głośno inną sylabę i gra tak ciągnie się dalej. Jeżeli kto z uczestników nie da natychmiastowej odpowiedzi, lub powie wyraz poprzednio już wymieniony — daje fant.

Łamigłówka do nagrody.

Kwadrat magiczny.

Litery w przedziałach poniżej zamieszczonego kwadratu ustawić tak, aby utworzone wyrazy dały się czytać z góry na dół i z lewej strony w prawą bez zmiany znaczenia.

a	a	a	a
e	m	n	n
n	n	o	o
r	t	t	t

Znaczenie wyrazów.

1. Wulkan.
2. Godło władzy królewskiej.
3. Inaczej rachunek.
4. Kolonia francuska w Indyach.

Rozwiązania łamigłówek prosimy nadsyłać najpóźniej do 15. grudnia r. b. na ręce redakcyi.

Z rozwiązań trafnych 4 odznaczone zostaną nagrodą.

Nazwiska osób, które dobre nadeślą rozwiązania oraz tych, które otrzymają nagrodę, ogłosimy w nr. 52.

Rozwiązanie

łamigłówki zamieszczonej w nr. 48.:

Ko—per—nik.

Trafne rozwiązania nadesłali:

Z Galicyi:

pp. Juliusz Bogusz, Marya Budziszewska, Antoni Byrtus, Konstanty Cag, Michał Chciuk, Justyn Cholewik, Wł. Dubaj, Aleksander Finik, E. Franz, Michał Gesycz, Marya Haass, Stefania Hatschier, W. Hyla, Tomasz Klus, Z. Maślakiewicz, Józef Pończa, Wilhelm Rückemann, Celestyn Schöffer, Feliks Ślusarczyk, Józefa Steindl, Jan Tarnawski, Wł. Trybała, Wanda Witkowska Adela Wiśniewska, Zdzisław Zaremba.

Z Księstwa Poznańskiego, Prus Zachodnich i Śląska:

pp. Jadwiga Adamczewska, Wiktor i Kazimierz Balcerski, Marta Bartkowska, Stanisław Bilski, Agnieszka Błaszczyk, Kazimiera Bosiacka, Ludwik Broździnski, Helena Chełmikowska, Halina Czyżewska, Pelagia Dymek, Wincenty Herok, Anna Hofman, „Janek z pod Góry Przemysława“, Zofia Jankowska, Mieczysław Jarmuż, Józef Kafka, Marylka i Zosia Kamzówne, Marysia Kasprzak, Zofia Kazowska, Stefan Kempa, Kierska, L. Kirschke, Stefcia Kiser, Konstancya Kolańczyk, Pelagia Kopańska, Halina Koppówna, „Lotos“, Wanda Machlińska, Czesław Musiał, Antoni Musielak, Ludwik Piasek, Zosia Panieńska, Hieronim Piechocki, Stanisław Pietrzak, B. Pławińska, Ludwika Polaszyk, Tadeusz Przybyszewski. Mieczysław Pyszczyński, Franciszka Rosołek, St. Siarczyńska, Cecylia Sikorska, Teresa Sławińska, Zofia i Wanda Stachowskie, Wacław Szmidt, Zygmunt Szynkowski, Tadeusz Węclewicz, Władysław Wystański.

Z obczyzny i zagranicy:

pp. Tadzio, Henryś i Gincia Hankiewicz z Berlina, Hieronim Jaworowski z Drezna, Kazio i Edziu Sokołowscy z Berlina, Emilia Świątkowska z Monachium, Czesława Wrońska z Berlina.

Nagrodę otrzymają:

pp. Franciszka Rosołek z Gnina (pod Grodziskiem), L. Kirschke z Poznania (ul. Następcy Tronu 4.), W. Hyla z Makowa (Galicya), Tadzio, (Henryś i Gincia) Hankiewicz z Berlina ul. Zamkowa 18).

DZIAŁ POWIEŚCIOWY

MARYA RODZIEWICZÓWNA.

WRZOS

NR 50

POWIEŚĆ.

(Ciąg dalszy).

— Co za śliwki! I o tej porze. Ciekawam co kosztują. Torty za skromne! Muszę Kazi zrobić uwagę na drugi raz! Ale co będzie z bażantami, i ona zawsze lekceważy majonez! Tylko ma talent służbę wymusztrować. Co prawda, to prawda.

Umiała też Kazia dobrać pary, przyznały to jej matki panien na wydaniu, nawet Wolska, widząc obok córek dwóch dawnych kolegów Andrzeja i stara Zaleska, spostrzegłszy rejenta Iwickiego przy Zośce.

Markhamowa stara dostała prałata Bełwickiego i siedziała na pierwszem miejscu. Dąbska miała Radlicza. Na szarym końcu komenderując wzrokiem służbie, siedziała Kazia z Downarem.

— Otóż i nasze wtorki przepadną! — rzekł do niej.

— O jak mi ich serdecznie żal.

— Bo, czy taki tłok może być przyjemnością — mruknął. — Na biesiadzie, mawiali starożytni, nie powinno być ucztujących mniej, jak Gracyi, i więcej jak Muz. Gromadą ucztują tylko barbarzyńcy. Na te stracone wtorki przyjdę do pani jeśli wolno. Zagra pani i zaśpiewa dla odyńca! — Sam będę jakiś czas zapewne.

— Żona pańska wyjechała?

— Uhm — wyjechała. Gadają już pewnie, że na zawsze, ale wróci!

Mówił to bez zapału i bez troski.

— Wróci, bo się zaturbuje o domy i kapitały. Wie, że ja tem nie będę się zajmować. Już parę razy wyjeżdżała! Głupstwo!

Umilkł na chwilę i dodał jakby do siebie.

— Postawili Mickiewiczowi pomnik. A ja nie dałem grosza. Głupiec był! Litwin czysty — i napisał „Trzech budrysów". Za to, bodaj mu w piekle Laszki służyły.

— Profesor zatem i Jagiełły w sercu nie nosi.

— Jagiełło odpokutował za życia. Kolega! Zresztą może nie śmieli z niego w oczy drwić koroniarze, kupę Litwy za sobą miał. A że go żona niecierpiała i lekceważyła, za to ją świętą omal zrobili. Poświęciła się, Litwina poślubiła, żywcem na męki się dała, nieboraczka! Wiarę mu dała, koronę mu dała, furda przytem szczęście.

— Co to? Chirurg w historyka się bawi? — zagadnął opodal siedzący profesor Kęcki.

— Ot, coś się zgadało! — mruknął Downar i umilkł.

— Nie bawcie się, doktorzy, historyą, bo podobno cholera jest w Warszawie — rzekł stary Markham.

— Dlaczegoby nie była. Gdzie ośm dziesiątych ludności źle się odżywia, źle mieszka i źle się odziewa, tam musi być brud, głód i choroby.

— A jednak ta nędza miejska ma urok, bo gromadami zmykają ze wsi! — rzekł Szpanowski.

— Miliony dajemy na dobroczynność, a bieda się mnoży przerażająco! — westchnęła Markhamowa.

— Taka to i dobroczynność.

— Co? Pan twierdzi, że Warszawa mało robi dla ubogich i potrzebujących pomocy.

— Wiele robi, bo tworzy tych ubogich i potrzebujących. Gdzie jest żebrak, to dowód, że znajduje się taki, co za wiele ma. Zuchwały i silny kradnie, słaby i nikczemny żebrze, i tak być musi, bo jest u kogo kraść i u kogo żebrać,

— Boże, jaki ten Downar nudny — szepnęła Tunia do Radlicza. — Na raucie jeszcze o chorobach prawi.

Tu się Bukowiecki odezwał.

— U nas pod Kamieńcem w cukrowni u Markusa Lewi zbuntowali się robotnicy, zatłukli pisarza. A prowodyra widziałem na „wogzalu" w kajdanach.

— O! A Wołodyowskiego pan też pewnie widział — rzekł z miną naiwną Radlicz.

— Nie — nie znam tego! — odparł bałaguła.

— To pan kawał czasu przespał!

Niektórzy tłumili śmiech, narzeczona sponsowiała, mama Wolska spojrzała piorunująco na malarza, sekunda ciszy, którą przerwał głos panieński, z drugiego końca stołu.

— Pan się na tem nie zna. Suknie „cloche" już wychodzą z mody.

— Co? Kto ci mówił? — podchwyciła Dąbska.

— U Hersego! Mają już fasony nowe z Paryża.

Rozmowa rozbiła się znowu na pary, temata i zlała się w gwar i szum coraz żywszy, w miarę spożytych delikatesów i spełnionych kieliszków.

Nareszcie ruszono od stołu. Panowie się ulotnili na cygara i papierosy, w salonie damy zabawiały się dość sennie, pozbawione męskiego elementu. Panienki spacerowały po kilka pod rękę lub udawały, że przeglądają ilustracye.

Był to dla gospodyni najcięższy moment, to też Kazia po chwili zajrzała do gabinetu i spojrzała błagalnie na męża.

Zrozumiał jął, rzucił papieros i ją wyciągać młodszych panów.

Ożywiła się atmosfera w salonie. Opadnięto Radlicza, prosząc o deklamacyę, po kątach flirtowano w przyśpieszonem tempie, starsze panie, syte nowin i wrażeń kulinarnych, marzyły o odwrocie, radcowie żwawiej kończyli robry.

Nareszcie około północy gremialny odwrót, pożegnanie, uściski, trochę zamięszania w przedpokoju z kaloszami i damskiemi kapeluszami, „moje uszanowanie", „do miłego widzenia", „jakże nam było przyjemnie", „prosimy o nas nie zapominać", „całuje rączki", „dobranoc" — i za ostatnim gościem zamknęły się drzwi.

Na schodach jeszcze żywe rozmowy, w bramie chwila mitręgi ze stróżem i „dyskami" i fala gości wylała się na ulicę do czekających karet, dorożek, lub na piechotę do domu.

— Uf! — odsapnął Andrzej, rozpinając tużurek i rzucając się w fotel. — Jakbym cepem machał, takim zmęczony! To ci wynalazek idyotyczny.

— Trudno, kto bywa, musi przyjmować! — zdecydował prezes. — Ja miałem bardzo porządną partyę, wygrałem siedemnaście rubli.

— Powinien je ojciec oddać Kazi za fatygę, albo mnie za piękną reprezentacyę.

Mówił to umyślnie, bo znał dziwactwo starego, o ile na wydatki był szeroki, o tyle wygrane w karty ruble dusił jak sknera.

Prezes udał, że nie słyszy.

— Ogromnie mi się pić chce! Córuś — dostanę filiżankę herbaty z cytryną?

Kazia, zajęta porządkami w jadalni, odpowiedziała spiesznie:

— Dostanie tatko — i dalej gospodarzyła.

— Mogłabyś spocząć nareszcie! — zawołał niecierpliwie Andrzej. — Cała ta gromada gości krytykuje nas teraz i wiesza, a my mamy ich oszczędzać.

— Co mają krytykować. Przyjęcie było porządne, bawili się doskonale.

Kazia przyniosła mu sama herbatę, zatrzymał ją za rękę, spojrzał serdecznie.

— Takaś bledziutka i mizerna. Zmęczone dziecko. Siądź tu przy starym, cały dzień gdzieś latasz, wcale cię nie widziałem dzisiaj. Masz — dam ci coś dla twej hołoty. Złóż rączki.

I wysypał jej na dłonie całych siedemnaście rubli wygranych w winta.

Andrzej wybuchnął śmiechem.

— Świat się kończy, czy ojciec ma gorączkę?

Spojrzał zdziwiony pytająco.

— Jeszcze nikt, nigdy w życiu nie dostał od ojca tych pieniędzy.

— Bom nie miał w życiu prawdziwego dziecka, to jest córki. Tobie miałem dawać może? Miałeś i tak za wiele na gałgaństwa i głupstwa. No, usiądź, córuś, pogawędź ze starym. Dobry dziś dzień, mogłabyś się do mnie uśmiechnąć i nawet pocałować na podziękowanie.

— Wszystko, co tatuś chce! — uśmiechnęła się, objęła go za szyję, ucałowała. — Dziękuję za grosze, bardzo w porę przyszły, bo siedzę w długach.

— Pewnie u Salomona Pipermenta na lichwie.

— Tak źle jeszcze nie, honorowy dług u męża.

— Ja żonie daję, a nie pożyczam!

— Widzisz, podziękuj i jemu. Twoje drapichrusty będą rychło rentę miały. A ty, Jędrek, nie chcesz herbaty?

— Herbaty? — powtórzył, budząc się z chwilowej zadumy Andrzej — nie, herbaty nie chcę.

— Myślę o tych ludziach, co tu dziś byli, śmiali się, dysputowali, bawili! Czy też który był szczery?

— Był z pewnością jeden. Doktor Downar.

— Dlategoś go sobie wybrała do kolacyi.

— Tak. To moja flama jedyna, prawdziwa, o którą właśnie nikt mnie nie posądzi.

— Masz słabość do doktorów widocznie.

Zmarszczyła na sekundę brwi i nic nie odpowiedziała, zwróciła się do teścia.

— Tatuś jutro użyje mego towarzystwa, dziś zmykam, czeka mnie jeszcze po tej bitwie obrachunek potłuczonego szkła i porcelany, kwestya intendentury. Dobranoc!

Pocałowała go i wyszła do jadalni.

— Dzięki Bogu — wygraliśmy — rzekł cicho prezes do syna. — Uspokoiła się i zostanie. W jakim ja strachu byłem wczoraj, wyglądała cicha i słodka, ale to cicha woda. Byłem pewny, że wszystko przepadnie, że wyjedzie. Zlituj się, oszczędzaj ją.

Andrzej milczał.

— Jabym bez niej żyć nie potrafił. A żebyś wiedział, jak pomimo wszystko zazdroszczą jej nam.

— No, mnie nie mają czego, ani ja sam tak bardzo mym losem nie zachwycam się. Ano, mniejsza. Potrzebuję spokoju i dlatego ustępuję. Dobranoc ojcu!

A tymczasem goście nakarmieni i zabawieni wracali do domu i streszczali wrażenie wieczoru.

— Budujący wpływ ma Downar na Sanicką — mówiła Markhamowa do drzemiącego w karecie męża. — Toć podobno oboje należą do kliki tego maniaka Twardowskiego, co zakłada falanstery na Kaukazie i ona wcale prawie nie uczęszcza na nasze sesye, a polecone jej rodziny ubogie dotąd nie były u spowiedzi. A kto ją wie, może i sama nie bywa! Co człowiek znosić musi dla miłości bliźniego. Muszę ją oszczędzać, bo zupełnie zawojowała prezesa. Zaczepić ją, to stary zamknie kasę dla nas.

— Jaką on wynalazł gdańską szafę! — zamruczał sennie Markham.

— Suknia Sanickiej pewnie kosztowała paręset rubli! — mówiła zawistnie Mania Wolska.

— A co jej to szkodzi? Za swoje nie kupiła. Takie nędzarki jak złapią bogatego męża tracą i marnują tysiące jak plewy.

— Zresztą musi się ładnie ubrać do Radlicza. A ten Andrzej ślepy, głupi, bezeceństwo takie toleruje we własnym domu.

— No i Radlicz skończony szubrawiec.

— Andrzej z nim hula, on nie cierpi tej klępy — rad, że jej nie potrzebuje pilnować. To plotki o tym pojedynku. Celina wróciła, tylko zmieniła mieszkanie, bo prezes tego wymagał.

— Kazia zeszkapiała! — mówiono w kompanii Dąbskiej. — No i Radlicz ją negliżuje już.

— Ona nigdy furory nie zrobi. Nikła jest, bez życia. Za parę lat świeżość straci i będzie kompletnie bez uroku i wdzięku.

— Ta dużo w życiu nie użyje. Niema temperamentu, nie będzie się podobać.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

ALEKSANDER DUMAS.

WSPÓLNIK GARBARZA

CZYLI

KAWALER DE MAISON-ROUGE.

POWIEŚĆ.

(Ciąg dalszy).

— Nie wiem. On uciekł w swoją stronę, a ja w moją.

— O! — powiedział Maurycy, zacisnąwszy zęby — jeżeli go kiedy spotkam...

— Rozumiem. Ale dla Genowefy jeszcze nie ma nic straconego — przerwał Maison-Rouge — kiedy tymczasem tu, dla królowej... O! Maurycy, jesteś człowiekiem szlachetnym, wiele możesz, masz przyjaciół. O! błagam cię, jakbym błagał Boga... Maurycy, dopomóż mi ocalić królowę.

— I jeszcze o tem myślisz, kawalerze?

— Maurycy! Genowefa błaga cię o to przez moje usta.

— O! nie wymawiaj pan tego imienia. Kto wie, możeś i pan, podobnie jak Dixmer, oddał na pastwę tę kobietę?

— Maurycy — dumnie odrzekł kawaler — ja, kiedy się przywiążę do jakiej sprawy, poświęcam tylko samego siebie.

W tej chwili otworzyły się drzwi od izby narad. Maurycy chciał coś odpowiedzieć.

— Sza, mój panie! sza! — rzekł kawaler — oto sędziowie wracają.

I Maurycy uczuł, że kawaler drży, blednie i chwieje się.

— O! — szepnął kawaler — o! serca mi już brakuje.

— Odważnie, powściągnij się pan, alboś zgubiony — powiedział Maurycy.

Trybunał wracał w rzeczy samej, — wieść o tem przebiegła po wszystkich galeryach i korytarzach.

Tłumy znowu się wtłoczyły do sali, a światło zdało się samo przez się odżywiać w tej stanowczej i uroczystej chwili.

Wprowadzono królowę; szła prosto, niewzruszona, dumna, z wytężonym wzrokiem, z zaciśniętemi usty.

Przeczytano jej wyrok, skazujący ją na karę śmierci.

Wysłuchała go spokojnie, ani zbladła, ani mrugnęła, ani żadnym muszkułem twarzy nie dowiodła najmniejszego pozoru wzruszenia. Potem obróciła się do kawalera, spojrzała nań długo i wymownie, jakby chciała podziękować temu człowiekowi, którego widziała tylko w postaci żyjącego posągu poświęcenia; wreszcie, wsparta na ramieniu oficera, dowodzącego siłą zbrojną, spokojna i wzniosła wyszła z trybunału.

Maurycy wydał długie westchnienie.

— Bogu dzięki! — rzekł — żadne jej zeznanie nie skompromitowało Genowefy, jeszcze więc jest nadzieja.

— Bogu dzięki! — mruknął także kawaler de Maison-Rouge — wszystko się skończyło i walka już skończona. Zbrakło mi już sił, abym ją mógł dalej prowadzić.

— Odważnie, mój panie — rzekł po cichu Maurycy.

— Nie zbraknie mi odwagi — odpowiedział kawaler.

I obaj, ścisnąwszy sobie dłonie, wyszli każdy innemi drzwiami.

Królowę odprowadzono do Conciergerie; — czwarta godzina biła na wielkim zegarze, gdy tam wchodziła.

Na końcu nowego mostu, Lorin oburącz przytrzymał Maurycego.

— Stój! — rzekł — niewolno.

— A to dla czego?

— Naprzód, dokąd idziesz?

— Idę do domu. Teraz już wiem, gdzie jej szukać.

— Tem lepiej, ale nie pójdziesz do domu.

— Z przyczyny?

— Że przed dwiema godzinami byli u ciebie żandarmi i chcieli cię przyaresztować.

— Ah! — zawołał Maurycy. — Otóż! tem lepiej.

— Czyś oszalał? A Genowefa?

— Prawda. A dokądże pójdziemy?

— Przecież, że do mnie!

— To ja cię zgubię.

— Tem lepiej; no, ruszaj. — I pociągnął go za sobą.

V.

Ksiądz i kat.

Z sądowej izby odprowadzono królowę do Conciergerie.

Skoro wróciła do swego pokoju, wzięła nożyczki i obcięła swe długie i piękne włosy, tem piękniejsze, że od roku już pudru pozbawione; zawinęła je w papier i napisała na niem: „Rozdać to mojemu synowi i mojej córce“.

Potem siadła, a raczej padła na krzesło, i utrudzona ośmnasto-godzinnem wybadywaniem, usnęła. O siódmej nagle obudził ją łoskot odsuwanego parawanu; obróciła się i ujrzała zupełnie sobie nieznanego człowieka.

— Cóż chcą odemnie? — spytała.

Człowiek ten zbliżył się i witając ją, jakby nigdy nie była królową, rzekł:

— Nazywam się Samson.

Królowa lekko się wzdrygnęła i wstała. To nazwisko samo przez się więcej mówiło, jak najdłuższa rozmowa.

— Bardzo wcześnie przychodzisz, mój panie — rzekła — nie mógłbyś pan nieco się opóźnić?

— Nie pani — odpowiedział Samson — taki mam rozkaz. — To powiedziawszy, zaczął się zbliżać do królowej.

W tej chwili wszystko w nim było wyraziste, straszne.

— Ah! rozumiem — rzekła uwięziona — chcesz pan mi obciąć włosy?

— To rzecz konieczna, moja pani — odparł wykonawca.

— Wiedziałam o tem, mój panie — mówiła królowa — i oszczędziłam ci tego trudu; moje włosy leżą tam, na stole.

Samson spojrzał na wskazane miejsce.

— Chciałabym tylko — mówiła znowu — aby jeszcze dziś doręczono je moim dzieciom.

— Pani — powiedział Samson — to do mnie nie należy.

— Sądziłam jednak...

— Do mnie — przerwał wykonawca — należy tylko spuścizna... osób... ich suknie, klejnoty i to, jeżeli mi je wyraźnie przekazują; inaczej wszystko idzie do „Salpetrerie“ (szpital dla kobiet obłąkanych) i staje się własnością biednych mieszkańców tego szpitala; tak mieć chce dekret komitetu publicznego bezpieczeństwa.

— Słowem, mój panie — nalegając, spytała Marya Antonina — czy mogę liczyć na to, że moje włosy oddane będą moim dzieciom?

Samson milczał.

— Ja się o to postaram — powiedział Gilbert.

Uwięziona spojrzała na żandarma z wyrazem niewypowiedzianej wdzięczności.

— Przyszedłem — rzekł Samson — obciąć pani włosy, ale kiedy to już nie potrzebne, mogę teraz panią zostawić na chwilę w samotności, jeżli pani tego żądasz.

— Owszem, proszę o to, bo potrzebuję nieco roztrząsnąć moje sumienie i pomodlić się.

Samson ukłonił się i wyszedł.

Królowa znowu pozostała sama, bo Gilbert tylko wytknął głowę z poza parawanu, aby powiedzieć to, cośmy przytoczyli.

Podczas gdy skazana klękła na krześle niższem od innych, które jej służyło za klęcznik, niemniej straszna scena działa się w prezbiteryum kościołka Saint-Landry na starem mieście.

Pleban tej parafii właśnie dopiero co wstał, a stara gospodyni przyrządzała mu skromne śniadanie, kiedy nagle mocno zapukano do drzwi plebanii.

I za naszych czasów niespodziana wizyta u księdza, zawsze oznacza jakiś nadzwyczajny wypadek, chodzi zwykle albo o chrzest, albo o małżeństwo in extremis, lub o spowiedź na śmierć; ale w owej epoce przybycie nieznajomej osoby oznaczało coś jeszcze ważniejszego; bo wtedy ksiądz nie był posłannikiem Boga, ale ludziom z postępowania swego rachować się musiał.

Jednakże ksiądz Girard należał do rzędu osób, najmniej obawiać się mogących, ponieważ wykonał przysięgę na konstytucyę, ponieważ sumienie i uczciwość przemawiały w nim głośniej, jak własna miłość i duch religijny. Bez wątpienia ksiądz Girard przypuszczał możność postępu w rządzie i ubolewał nad tylu nadużyciami, popełnianemi w imieniu Boskiej władzy; ale, nie opuszczając Boga, przyjął także braterskość republikańskiego rządu.

— Zobaczcie-no, Hyacyntowa — rzekł — kto to tam kołace tak rano, a jeżeli to nie pilny jaki interes, powiedźcie, żem dziś wezwany do Conciergerie, i że muszę tam iść natychmiast.

Hyacyntowa nazywała się dawniej Magdalena: ale w miejsce tego imienia przyjęła imię kwiatu, podobnie jak ksiądz Girard w miejsce tytułu proboszcza, przyjął tytuł obywatela.

Na wezwanie pana, Hyacyntowa czemprędzej zbiegła po schodach do małego ogródka, na który

odmykały się wchodowe drzwi, otworzyła je i spostrzegła młodzieńca bardzo bladego, bardzo wzruszonego, ale miłej i uczciwej fizyognomii.

— Czy tu ksiądz Girard? — spytał ów młodzieniec.

Hyacyntowa spojrzała na nieporządny ubiór, długą brodę i nerwowe drżenie przybyłego i wzięła to wszystko za bardzo złą wróżbę.

— Obywatelu — rzekła — tu niema żadnego księdza.

— Przepraszam panią — przerwał młodzieniec — chciałem powiedzieć: wikary parafii Saint-Landry.

Wyraz „pani“ uderzył Hyacyntową mimo jej patryotyzmu; odpowiedziała więc:

— Nie można się z nim widzieć, obywatelu, bo czyta swój brewiarz.

— W takim razie poczekam — odpowiedział młodzieniec.

— Ale — odparła Hyacyntowa, znowu zrażona takiem naleganiem — napróżnobyś czekał, obywatelu, bo go wezwano do Conciergerie i zaraz wychodzi.

Młodzieniec zbladł okropnie, albo raczej jego bladość zamieniła się w trupią.

— Więc to prawda — szepnął. A potem dodał głośniej: — Właśnie też, moja pani, dla tego przychodzę do obywatela Girard.

I to mówiąc, mimo oporu starej, wsunął się powoli, ale mocno zatrzasnął drzwi i nie zważając ani na przedstawienia, ani na groźby Hyacyntowej, wszedł do mieszkania księdza i dostał się do jego pokoju.

Ten, spostrzegłszy go, krzyknął zdziwiony.

— Przebacz, mości proboszczu — rzekł natychmiast młodzieniec — mam z panem pomówić o rzeczy bardzo ważnej; pozwól, abyśmy sami pozostali.

Stary ksiądz z doświadczenia znał sposób wyrażania się wielkiej boleści. Wyczytał on całą namiętność w zmienionej twarzy młodzieńca, a w drżącym jego głosie dostrzegł okropne wzruszenie.

— Zostawcie nas, Hyacyntowa — rzekł.

Młodzieniec niespokojnym wzrokiem powiódł po gospodyni, która nawykła do podzielania tajemnic swojego pana, namyślała się, czy ma wyjść lub nie; wreszcie, gdy drzwi za sobą zamknęła, rzekł:

— Panie proboszczu, spytasz mię zapewne naprzód, kto jestem. Powiem ci to. Jestem wyjęty z pod prawa, skazany na śmierć, i żyję tylko mocą mojej śmiałości; jestem kawaler de Maison-Rouge.

Przerażony ksiądz podskoczył w swym wielkim fotelu.

— O! nie lękaj się pan niczego — mówił dalej kawaler — nikt nie widział, że tu wszedłem, a ci nawet, którzy mię widzieli, nie poznają mię, bom się zbyt zmienił w ciągu dwóch miesięcy.

— Lecz nakoniec, czego żądasz obywatelu? — spytał pleban.

— Wszak pan idziesz dziś rano do Conciergerie?

— Tak jest, wezwał mię tam nadzorca.

— I wiesz pan po co?

— Zapewne do chorego, do umierającego, a może do skazanego.

— Tak jest, oczekuje cię, panie, osoba skazana.

Stary ksiądz z zadziwieniem spojrzał na kawalera.

— Ale czy pan wiesz, kto jest tą osobą? — mówił Maison-Rouge.

— Nie... nie wiem.

— Tą osobą jest królowa!

Ksiądz wydał okrzyk rozpaczy:

— Królowa! O! mój Boże!

— Tak jest, panie, królowa! Dowiedziałem się, którego jej księdza przyślą; powiedziano mi, że pana i przybiegam.

— Cóż pan chcesz odemnie? — spytał ksiądz, przerażony drżącą mową kawalera.

— Ja nie chcę.. mój panie, ale przychodzę błagać.

— O co?

— Abyś mię wprowadził z sobą do królowej.

— O! pan chyba oszalałeś! — zawołał ksiądz — pan i mnie i siebie chcesz zgubić!

— Nie lękaj się pan niczego.

— Biedna kobieta skazana i już po niej.

— Wiem, i nie dla tego ją chcę widzieć, abym się kusił o jej ocalenie, ale... Ale słuchaj, ojcze! o! nie słuchasz mię.

— Nie słucham, bo pan żądasz niepodobieństwa; nie słucham, bo działasz, jak waryat — powiedział starzec — nie słucham, bo mię przerażasz, mój panie.

— Mój ojcze, chciej się uspokoić — rzekł młodzieniec, sam siebie usiłując uspokoić. — Mój ojcze, wierz mi, że jestem przy zdrowych zmysłach. Wiem, że królowa jest zgubiona; ale niech tylko na chwilę mogę upaść do jej nóg, a to mi życie ocali; jeżeli jej nie zobaczę, zabiję się, a ponieważ ty, ojcze, będziesz przyczyną mojej rozpaczy, zabijesz więc zarazem duszę i ciało.

— Mój synu, mój synu — powiedział ksiądz — żądasz ofiary, którą życiem przypłacić mogę, za-

stanów się; jakkolwiek stary jestem, jednak dla wielu nieszczęśliwych żyć potrzebuję; jakkolwiek stary jestem, mówię, gdybym się umyślnie na śmierć naraził, popełniłbym samobójstwo.

— Nie odmawiaj, ojcze — odparł kawaler — potrzebujesz posługacza, weź mię, ja ci go zastąpię.

Ksiądz, usiłując utwierdzić chwiejącą się już stałość swoją, rzekł:

— Nie, nie, uchybiałbym moim obowiązkom; przysiągłem na wierność konstytucyi, a przysiągłem z głębi serca, całą duszą i sumieniem. Nieszczęśliwa na śmierć skazana kobieta, jest to winna królowa; umarłbym chętnie, gdybym śmiercią moją mógł przynieść korzyść bliźniemu, lecz obowiązkom moim uchybić nie chcę.

— Ależ — zawołał kawaler — skoro powiadam, skoro powtarzam i przysięgam panu, że nie chcę ocalić królowej, skoro zaklinam się na tę ewangelią, na ten krucyfiks, iż idę do Conciergerie nie dla tego, abym stawił opór śmierci...

— Po cóż więc tam iść chcesz? — spytał starzec, wzruszony tak nienaśladowanym głosem rozpaczy.

— Słuchaj, ojcze — rzekł kawaler, którego dusza szukała odbicia w każdym wyrazie — ona ma do mnie niejakie przywiązanie; jestem więc pewny, że skoro mię ujrzy w ostatniej godzinie swojej, przyniesie to jej prawdziwą pociechę.

— I nic więcej nie żądasz? — spytał ksiądz, zachwiany tak niepokonaną mową.

— Nic zgoła.

— I nie posuniesz się do żadnego spisku, w celu uwolnienia skazanej.

— Do żadnego. Jestem chrześcianinem, mój ojcze, a jeżeli w sercu mojem ukrywa się choć cień kłamstwa, jeżeli spodziewam się, że ona żyć będzie, jeżeli nad tem jakimkolwiek sposobem pracować będę, niech mię Bóg skarze wiecznem potępieniem.

— Nie! nie! nic ci przyrzec nie mogę! — powiedział pleban, któremu znowu stanęły na myśli wielkie i liczne niebezpieczeństwa tak nierozważnego kroku.

— Posłuchaj mię, ojcze — tonem głębokiej boleści rzekł kawaler — mówiłem z tobą, jak syn posłuszny, wspomniałem tylko o uczuciach chrześciańskich i miłosiernych, z ust moich nie wyszła żadna groźba, żadne gorzkie słowo, a jednak w głowie mojej wre, a jednak krew moja burzy się, a jednak rozpacz szarpie mojem sercem, a jednak, patrz, jestem uzbrojony, mam sztylet. I to mówiąc, młodzieniec wydobył delikatne żelazo, które rzuciło odblask swój na bladą jego rękę.

Ksiądz żywo cofnął się.

— Nie lękaj się, ojcze — ze smutnym uśmiechem rzekł kawaler — kto inny, widząc, że tak wiernie dotrzymujesz słowa, może-by ci trwogą wyrwał obietnicę. Ale ja nie; błagałem cię i błagam jeszcze, załamawszy ręce z pokorą, spraw, niech ją widzę przez chwilę, a to niech będzie rękojmią twego bezpieczeństwa. — I wydobył z kieszeni jakieś pismo, które podał ojcu Girard; ojciec rozwinął je i czytał:

„Ja, kawaler René de Maison-Rouge, oświadczam przed Bogiem i zaręczam honorem, żem groźbą śmierci zmusił zacnego plebana z Saint-Landry, aby mię zaprowadził do Conciergerie, mimo, że mi odmawiał, że mi się silnie opierał, w dowód czego własnoręcznie podpisuję.

Maison-Rouge“.

— Dobrze — rzekł ksiądz — ale przysięgnij mi, że się nie dopuścisz żadnej nieroztropności; nie dosyć, że życie moje będzie ocalone, ale ja odpowiadam także i za życie twoje.

— O! nie myślałem o tem, ojcze — rzekł kawaler — więc zezwalasz?

— Muszę, kiedy koniecznie wymagasz. Poczekasz na mnie na dole, a kiedy ona będzie szła do kancelaryi, obaczysz ją.

Kawaler schwycił rękę starca i pocałował ją z takim zapałem i uszanowaniem, jakby całował krucyfiks.

— O! — szepnął — przynajmniej umrze, jak królowa, nie dotknie jej ręka kata.

VI.

Śmiertelny wóz.

Maison Rouge, skoro tylko uzyskał zezwolenie plebana, wpadł natychmiast do przyległego gabinetu, w którym ksiądz zwykle się ubierał. Tam wnet pod ostrzem brzytwy opadła jego broda i wąsy; wtedy dopiero spostrzegł on swą przerażającą bladość. Wrócił potem, na pozór spokojny; wreszcie zdawał się zupełnie zapominać, że mimo, iż ogolił brodę i wąsy, mogli go poznać w Conciergerie.

Tymczasem przyszło po księdza dwóch służbowych, on też natychmiast udał się, gdzie go powoływano, a za nim Maison Rouge, pełen śmiałości, oddalającej wszelkie podejrzenie, zmieniony gorączkowem wzdęciem i wszedł na pałacowy dziedziniec przez bramę podówczas tam prowadzącą.

Podobnie, jak ksiądz Girard, ubrany był w czarny surdut, ponieważ kapłańskie suknie w tej epoce nie istniały.

W kancelaryi zastali przeszło pięćdziesiąt osób, już to urzędników lub komisarzy, oczekujących na przechód królowej, bądź z polecenia, bądź też przez prostą ciekawość.

Skoro się ujrzał przy drzwiach więzienia, serce jego tak mocno biło, iż nie słyszał rozmowy księdza z żandarmami i ceklarzem.

Tylko jakiś człowiek trzymający w ręku nożyczki i kawałek świeżo ukrojonej materyi, potrącił go na progu.

Maison-Rouge obejrzał się i poznał wykonawcę.

— Czego chcesz, obywatelu? — Spytał go Samson.

Kawaler, jak mógł wstrzymał dreszcz, który mimowolnie po wszystkich jego żyłach przebiegał.

— Ja! — rzekł — widzisz przecie, obywatelu Samsonie, że towarzyszę plebanowi z Saint-Landry.

— Ah! dobrze — odpowiedział wykonawca. I usunął się na stronę, dla wydania rozkazów swemu pomocnikowi.

Tymczasem Maison-Rouge dostał się do przedpokoju, który zajmowali żandarmi.

Ci poczciwi byli przejęci prawdziwym żalem. Królowa o ile dumnie i wyniośle obchodziła się z innymi, o tyle była dobra i słodka dla nich: słowem zdawali się być raczej jej sługami, niż strażnikami.

Ale kawaler, z miejsca, na którem się znajdował, nie mógł dostrzedz królowej, bo parawan był zamknięty i na chwilę tylko odsunął się, przepuszczając plebana.

Gdy kawaler wszedł, królowa zaczęła już rozmawiać z plebanem.

— Panie — rzekła mu ostro i dumnie — ponieważ zaprzysiągłeś wierność rzeczypospolitej, w imieniu której skazują mię na śmierć, nie będę więc mogła mieć w panu zaufania. Nie tego samego Boga czcimy!

— Pani — odrzekł Girard mocno wzruszony tak pogardliwem wyznaniem wiary — chrześcijanka umrzeć mająca, umrzeć powinna bez nienawiści w sercu i nie odtrącać Boga, w jakiejkolwiek by się jej postaci przedstawiał.

Maison-Rouge chciał odsunąć parawan w nadziei, że królowa go spostrzeże i skoro pozna przyczynę, która go sprowadziła, zmieni zaraz zdanie względem plebana; ale obaj żandarmi zaraz się poruszyli.

— Ale — powiedział Maison-Rouge — kiedy ja jestem posługaczem plebana.

— Ona niechce plebana, to tembardziej nie będzie chciała i jego posługacza — odpowiedział Dufresne.

— Ale może go przyjmie — mówił kawaler podnosząc głos — to niepodobna żeby przyjąć nie miała.

Jednak Marya Antonina całkiem oddana zajmującemu ją w tej chwili uczuciu, nie mogła ani słyszeć ani rozpoznać głosu kawalera.

— Idź pan — mówiła znowu do Girarda — idź pan i zostaw mię, ponieważ żyjemy teraz we Francyi pod rządem wolności, niech-że mi wolno będzie umrzeć według mojego urojenia.

Girard jeszcze próbował przekonać ją.

— Zostaw mię panie — rzekła — zostaw mię, powiadam.

Girard znowu coś chciał dodać.

— Ja tak chcę — powiedziała królowa z gestem Maryi-Teresy.

Girard wyszedł.

Maison-Rouge usiłował zagłębić wzrok swój przez szparę parawanu, ale uwięziona stała odwrócona plecami.

Pleban spotkał się z pomocnikiem wykonawcy, który wszedł ze sznurami w ręku.

Wprzód nim kawaler oślepiony, ogłuszony, zrozpaczony, mógł był wydać jakikolwiek krzyk, uczynić jakiekolwiek poruszenie dla spełnienia swojego zamiaru, już go obaj żandarmi za drzwi wytrącili.

Znalazł się więc wraz z Girardem na korytarzu. Z korytarza wepchnięto ich do więziennej kancelaryi, gdzie już rozeszła się wieść, że królowa nie przyjęła księdza, gdzie austryacka duma Maryi-Antoniny stała się dla jednych przedmiotem tajemnego uwielbienia.

— Wracaj do domu — rzekł Ryszard księdzu — kiedy cię wypędza, niech sobie umiera jak chce.

— Ha — powiedziała Ryszardowa, ona ma słuszność i jabym to samo uczyniła.

— I źlebyś uczyniła obywatelko — odrzekł ksiądz.

Ciąg dalszy nastąpi).

DZIAŁ KOBIECY.

Wychowanie biednych dzieci w Anglii.

Dzieci bogatych rodziców angielskich mają, (jak o tem niedawno pisaliśmy) swoje wspaniałe pokoje (nursery), urządzone według wymagań hygieny nowoczesnej, swoje wychowawczynie *(nursy)*, zabawki itd. Lecz istnieją w Anglii tysiące biednych, nieszczęśliwych i wydziedziczonych, które częstokroć nie mają dachu nad głową i kawałka chleba. Nad nimi czuwa społeczeństwo, które zastępuje im rodziny.

Gminy i stowarzyszenia prywatne utrzymują *nursery*, schroniska, letnie mieszkania i t. p. Dla tych biednych społeczeństwo składa setki tysięcy rocznie, dla nich Lord Major (burmistrz londyński) urządza co rok gwiazdkę na 10 tysięcy dzieci, które dostają wtedy obiad, włóczkowy kaftanik, książkę, zabawkę i Christmans pudding (placek gwiazdkowy), dla nich głównie urządza się parki i ogrody, wycieczki ze składek publicznych na czasowe wystawy, nad morze, na zwiedzanie okrętów i t. p. Muzea i galerye są dla nich otwarte bezpłatnie i w każdem z nich widzimy setki dzieciaków; pełno ich jest w Muzeum Morskiem i w Muzeum Brytyjskiem i w Galeryi Narodowej. Niema wypadku historycznego lub uroczystości w Londynie, gdzieby biedne dzieci nie miały zapewnionego miejsca, a jeśli jest to połączone z kosztem, apel do ofiarności publicznej nigdy nie zawiedzie. W r. b. np. ma być w Crystal Palace szereg widowisk, mających przedstawiać historyę Anglii i rozwój kolonii; weźmie w niem udział 12 tysięcy osób i każde dziecko musi je zobaczyć. Dla tych co nie mają środków, zbierają się składki publiczne; na przewiezienie i opłatę miejsca przeszło 100 tysięcy dzieci, potrzeba około 400 tysięcy mk.; suma ta napewno się zbierze i możemy być pewni, że nie będzie dziecka w Londynie, któreby uroczystości tej nie zobaczyło.

Dzień 24. maja jest dniem, poświęconym dzieciom, w dniu tym 8 milionów dzieci w Anglii i koloniach składa hołd ojczyźnie, a cała miłość i uwaga społeczeństwa w dniu tym skierowane są wyłącznie na przyszłych obywateli kraju.

Lecz nie w kierunku zabezpieczenia dzieciom rozrywki idą głównie wysiłki społeczeństwa; jego cała troska i energiczne starania mają na celu zapewnienia biednym dzieciom zdrowotnych warunków życia, uchronienia ich od złych wpływów ulicy i otoczenia i wychowania ich na dzielnych obywateli kraju.

Miejskie lub gminne *nursery* mają na celu opiekę nad temi dziećmi, których rodzice przez cały dzień są w zajęciu; dla dzieci starszych są ochrony, utrzymywane zarówno kosztem gmin, jak i z funduszów prywatnych. Zarówno w jednych, jak i w drugich, dzieci prócz opieki, otrzymują pożywienie i częstokroć ubranie i w obydwóch takież same nurses w podobny sposób dbają o zdrowie biednych maleństw, jak ich koleżanki o zdrowie zamożnych, a warunki hygieniczne w tych „dzieciarniach“ są niekiedy lepsze, niż w domach średniej zamożności.

Towarzystwa opieki nad dziećmi opiekują się głównie sierotami, półsierotami lub dziećmi, odebranemi od rodziców z wyroku sądu z powodu ich złego wpływu. Opieka tych towarzystw trwa nieraz lat kilkanaście. Dziecko przechodzi ochronę, szkołę początkową i szkołę specyalną, w której uczy się rzemiosła lub rolnictwa. Po kilkunastu latach takiej nauki jest gotowy materyał dla kolonii, do których głównie pupile są wysyłani; część idzie do wojska.

Ponieważ w koloniach stale daje się odczuwać brak kobiet, więc dziewczęta w zakładach dobroczynnych są przeważnie wychowywane na przyszłe żony kolonistów.

W tym celu uczą się gospodarstwa domowego, szycia, ogrodownictwa i t. p.; po za tem główny nacisk kładzie się na zdrowie fizyczne, gdyż mają to być przyszłe matki, mające zaludniać kolonie. Że wychowanie takie zupełnie odpowiada swym celom, najlepszy dowód, że koloniści z Kanady, Australii, Afryki często zwracają się do angielskich towarzystw o przysłanie im żon i co rok partye dziewcząt wyjeżdżają do nowej ojczyzny, gdzie czeka je ślubny kobierzec i ciężka praca.

Jak wielką wartość dla kraju ma taka dbałość o młode pokolenia, można wnosić z tego, że same przytułki im. Dr. Bernardo mają w swych murach 32 tysiące dzieci, odebranych ulicy. Roczny budżet tych zakładów przewyższa 12 milionów marek.

Życie ludzkie nie może się tu zmarnować. Anglia odgrywa wielką rolę w pochodzie ludzkości, — społeczeństwo to rozumie i czuwa nad

wychowaniem młodego pokolenia. Głównemi podstawami tego wychowania są dbałość o zdrowie, wyrabianie samodzielności i patryotyzm.

Zdrowia nabierają przez używanie sportów i zachowanie hygieny; samodzielności przez to, że wychowują się mniej w rodzinie, a więcej w społeczeństwie, które rozwijając w nich wiarę we własne siły, otacza je swą miłością i czuwa nad ich rozwojem; wrodzony zaś patryotyzm wzmacniają za pomocą wpajania w młode umysły i serca poczucia godności narorodowej, zachowania tradycyi narodowych, wiary w niespożyte siły własnego narodu i przez wdrażanie do wykonywania obowiązków względem swego kraju i ludzkości.

Zygmuut Marczewski.

Dziecko w świetle hygieny.

Jak chronić dzieci przed chorobami zakaźnemi.

Odra (żarnice).

Odra należy także do rzędu chorób zakaźnych, które od dawna są znane ludzkości, już w X w. opisywali odrę arabowie, nazywając ją odmianą ospy (rzeczywiście wysypka odry podobną jest do ospowej w pierwszych 2—3 dniach tej choroby).

Dopiero w XVIII wieku, po całym szeregu epidemii opisano odrę dokładnie, i odtąd już znamy chorobę tę doskonale. Odra panuje w całej Europie oraz w pozostałych częściach świata, zaznaczyć wszakże należy, że przebieg jej jest znacznie łagodniejszy w krajach ciepłych, w szczególe zaś w podzwrotnikowych.

Odra jest chorobą w wysokim stopniu zaraźliwą i nader niebezpieczną dla dzieci później 2-ch lat, a nawet nieco starszych. Na odrę, zarówno jak i na inne choroby zakaźne, zapadać mogą dzieci powtórnie a nawnt trzykrotnie, takich przypadków miałam sporo w swej praktyce. Odra zaraźliwą jest już wtedy, kiedy nie można jeszcze rozpoznać wysypki, w każdym jednak razie zarazek traci swą siłę już po upływie 3-ch tygodni, co pozwala na ograniczenie środków dezynfekcyjnych.

Okres wylęgania trwa 7—14 dni, niekiedy nawet dłużej do 21 dni. Ponieważ odra zaraźliwą jest we wszystkich okresach wogóle, wszczególe zaś przed ukazaniem się wysypki t. j. wtedy, gdy dziecko kicha, ma katar, kaszle, przeto powinniśmy zdrowe dzieci trzymać zdala od kichających i kaszlących, gdyż nie wiadomo, czy takie dzieci nie są przypadkiem w okresie wylęgania odry (lub kokluszu).

Jeżeli w rodzinie jedno z dzieci zachoruje na odrę, to należy obowiązkowo usunąć dzieci małe od 3—4 lat, gdyż odra jest dla nich bardzo niebezpieczną; dzieciom starszym np. po 5 latach odra rzadko grozi utratą życia — można ich więc nieusuwać z domu, a to dlatego, że dzieci bardziej są skłonne do odry, niż do szkarlatyny i dyfterytu, mogą więc zachorować na nią innym razem, w takim razie lepiej, gdy wszystkie dzieci przejdą odrę jednocześnie. Jeżeli odosobnienie ma być istotnie pomocne, to powinno ono być uskutecznione możliwie najwcześniej, stosunek wszelki z choremi, czy to pośredni, czy bezpośredni musi być przerwany gdyż odra zaraża nie tylko przez osoby, które miały styczność z chorym, lecz i przez przedmioty martwe (książki, zabawki itp).

W czasie epidemii, o chorobie ostrzegają: katar, kaszel, gorączka, tak że jeszcze ma się dość czasu na odosobnienie; o ile rozumie się rozwinęła się już wysypka o izolacyi nie ma mowy, gdyż zarażenie już nastąpiło a jeżeli wtedy odosobnimy dzieci, i te odosobnione zachorują, to wówczas mają rodzice tylko podwójny kłopot. Co się tyczy dezynfekcyi, to wobec tego, że żywotność zarazka odry jak to już zaznaczyliśmy, nie jest długotrwała 3—4 tygodnie, przeto wystarczy zrobienie dokładnego porządku po ukończeniu choroby. Z wydzielinami obchodzić się należy jak przy poprzednio opisywanych chorobach zakaźnych, te same również przepisy co i w innych chorobach zakaźnych obowiązują osobę, która pielęgnuje dziecko chore na odrę.

Do szkoły można posłać dzieci po ukończeniu choroby i zrobieniu dezynfekcyi lub dokładnych porządków, o ile rozumie się nie ma jakich powikłań, o czem tylko może sądzić lekarz w każdym poszczególnym wypadku.

Dr. med. Matylda Biehler.

Cesarska zbytnica.

Cesarzowa Józefina miała takie upodobanie w strojach i klejnotach, że przewyższała pod tym względem królowę angielską Elżbietę i cesarzową rosyjską Annę, które miały w szatni kilkaset sukien i całe skrzynie kosztowności. Nie przebierała ona w środkach, kiedy szło o zadowolenie próżności; już podczas pierwszej wojny włoskiej

przyjmowała bogate podarunki od dostawców, co nieraz wywoływało gwałtowne sceny między nią a Napoleonem. Pieniądze nie miały dla niej żadnej wartości; sypała niemi tem hojniej, że przychodziły jej z łatwością.

Raz zobaczyła u nadwornego jubilera przepyszny naszyjnik z pereł, niegdyś własność Maryi Antoniny. Wysoka cena 250.000 franków nie odstraszyła jej bynajmniej, wyjątkowo jednak w kasie cesarskiej były wówczas pustki, nie śmiała więc żądać od męża, żeby zadowolił kosztowną jej zachciankę. Zaciągnęła dług, ale przewidując ostre wyrzuty męża za takie marnotrawstwo, postanowiła wywieść go w pole przy pomocy sekretarza cesarskiego Bourrienne'a. Napoleon zaraz spostrzegł wspaniałe perły i zapytał żony, skąd je ma.

— Jakto! nie poznajesz ich? — odparła z udanem zdziwieniem — przecież dostałam ten naszyjnik od rzeczypospolitej cyzalpińskiej. Nieprawdaż, Bourrienne?

Sekretarz potwierdził kłamstwo, Napoleon zaś udał, że wierzy.

Przy koronacyi Józefina miała na sobie nieporównane brylanty koronne, oprawne na nowo i ocenione na 3,700,000 franków, prócz tego sznur pereł wartości pół miliona i rubiny jedne z największych w świecie.

Osobiste jej klejnoty stanowiły prawdziwy skarbiec. Między niemi był dyadem brylantowy, który kosztował przeszło milion fr., naszyjnik z brylantów za pół miliona i garnitur z opali i brylantów za ćwierć milona. Wogóle szacowano jej klejnoty na 6 i pół miliona franków.

Zły przykład monarchini pociągał na drogę zbytku inne kobiety. Noszono kosztowne pierścionki na wszystkich palcach, włosy przeplatano sznurami pereł, upinano je złotemi szpilkami i grzebieniami, na których błyszczały drogie kamienie, opasywano czoła dyademami w kształcie wieńca laurowego.

Przed koronacyą Józefina zamówiła u najsławniejszych krawców paryskich: Leroy i Raimbaud trzy toalety dworskie, każdą za 12,000 franków; złote hafty na płaszczu koronacyjnym kosztowały 16,000 fr.. bramowanie futrem 10,000 fr., — ale te wydatki cesarz poniósł z własnej szkatuły. Suma 450,000 franków, którą przeznaczył rocznie na jej ubranie, nigdy nie wystarczała tej zbytnicy; co rok musiał spłacać jej długi, wynoszące nieraz pół miliona i więcej.

W jednym tylko roku kupiła 136 sukien, 87 kapeluszy, 980 par rękawiczek, 520 par trzewików, 20 szalów kaszmirowych, oraz bielizny za 125 000 franków. Trzy razy dziennie zmieniała bieliznę.

Kiedy niebożczyk król duński był jeszcze księciem, dorastające jego córki: Aleksandra i Dagmara, późniejsze królowa angielska i cesarzowa rosyjska, dostawały rocznie na swoje ubranie po 100 talarów.

Krótko trwała świetność pierwszego cesarstwa i dopiero w kilkadziesiąt lat później, za Napoleona III, Eugenia wskrzesiła we Francyi dawne tradycye zbytku, zakończone powtórną katastrofą.

G.

Dom i kuchnia.

Kapusta włoska z ryżem (potrawa jarska).

Ilość: 2 główki włoskiej kapusty, pół funta ryżu, jedna utarta bułeczka i pół łyżki masła. Kapustę nieco obgotować, po wyjęciu z wody rozdzielić na listki i ostudzić, każdy listek nałożyć ryżem ugotowanym, wystudzonym i wymieszanym z bułeczką i masłem. Tak przygotowaną kapustę złożyć w rondel, podlać trochą rosołu lub wody i dusić na wolnym ogniu. Gdy kapusta zmięknie, wsypać trochę soli i cukru i zapalić masłem utartem z mąką.

Obiady jarskie na tydzień.

Poniedziałek. Zupa z kartofli z zacierkami; omlet z zieleninką; kalafiory.

Wtorek. Barszcz zabielany — kartofle; paszteciki z grzybów i kapusty; marmeladka z jabłek.

Środa. Zupa pomidorowa z ryżem; makaron zapiekany; naleśniki.

Czwartek. Krupnik perłowy; jaja w śmiet.; kartofle purée; ptysie.

Piątek. Zupa z ryżu przecierana; pierożki leniwe z sera; marchewka z groszkiem z krokietami z kartofli.

Sobota. Kluski lane na mleku; kulebiak z kaszą i grzybami; knedle ze śliwkami.

Niedziela. Zupa szczawiowa; makaron włoski z serem; omlet z konfiturami; sałata z pomarańczy.

:: HUMORYSTYKA ::

Niema nic złego coby...

Walenty Dzik poszedł na polowanie z nagonką. Nie ze strzelbą... broń Boże!... Skądżeby taki biedny chłop z żoną i trojgiem dzieci, w najętej chałupinie mieszkający, mógł iść na polowanie dworskie, hrabskie, na które jaśnie pan dziedzic kilkunastu panów zaprosił z miasta?...

Walenty Dzik najął się do nagonki.

Właśnie też z kijem w ręku przedarł się przez gąszcze krzaków na polanę — gdy jeden z kilkunastu, prawie równocześnie wypalonych na bojów, wpakował mu garść zajęczego śrutu w ciało!

— Hu ha! — wrzasnął Walek i podskoczył w górę jak postrzelony jeleń...

Nie padł — bo trzaśnięto go na szczęście w miejsce nie nadto delikatne i raczej stać niż siedzieć wolał z tą raną...

Poleciał do leśniczego ze skargą.

— A wiesz choć, który to pan? — spytał leśniczy.

— Toże to najgorzej, że nie wiem, proszę wielmożnego, bo jakosi naraz wypalili.

— Hm... cóżby tu zrobić!? — mruknął leśniczy, a po chwili dodał:

— Idź, połóż się do łóżka i zawołaj felczera, niech ci śruty powyciąga.

Sam poszedł do panów myśliwych.

— Biedne chłopisko! — rzekł — poleży z miesiąc, a żona z dziećmi będą przymierały z głodu. Powiada, że zna dobrze tego pana z widzenia, co go postrzelił, ale nie wie, jak się nazywa. Prosi tylko przezemnie, żeby ten pan nie zapomniał o nim.

Odszedł leśniczy — panowie odjechali po obiedzie do miasta.

Na drugi i trzeci dzień przyszło do Walentego Dzika siedemnaście przekazów pocztowych po trzydzieści, pięćdziesiąt — a dwa po sto marek z usprawiedliwieniem i życzeniem prędkiego wyzdrowienia.

Walenty kupił najętą chałupę i dwie morgi pola!...

Bohater.

Panna: Coby pan uczynił, gdybym tak teraz wpadła do wody z tej łódki.

Pan: Ja bym... się bardzo zląkł!

Dobra rada.

W sanatoryum na wsi chory skarży się lekarzowi:

— Panie doktorze, już drugą noc oka zmrużyć nie mogę. Pod samemi oknami jakiś pies wyje niemal bez ustanku.

— Aha zaradzi się. Dam panu dziś na noc bromu, to pan zaśnie.

— Przepraszam pana, ale czyby nie było lepiej psu dać bromu.

Podczas lekcyi rachunków.

Nauczyciel: Ile jest półpięta i półpięta?

Uczeń: Półpięta i półpięta jest — cała pięta.

Ogłoszenie.

Człowiek, któremu odjęto prawą nogę, poszukuje takiego, który niema lewej nogi, żeby na wspólny koszt kupić parę butów nr. 34

Za jedną fatygą

— Kiej pan doktor starą obejrzał, to proszę i na krowę spojrzeć i ona coś mi niedomaga.

— Przecież ja nie weterynarz.

— To wszystko jedno, krowa nie będzie tam na to zważać.

Objaśnił.

— Proszę tatki, co to jest grzmot?

— Grzmot... to widzisz jest huk tam w górze... w obłokach...

— Z czego?

— No z grzmotu, rzecz prosta...

Otwarty.

— Przecież pan radzca wie najlepiej, że ja mam lat ośmnaście.

— Wiem, wiem pani dobrodziejko — już cztery lata o tem słyszę...

Od Administracyi.

Wszelkie reklamacye są wolne od opłaty pocztowej.

Zwracamy jednakowoż Szan. Czytelnikom uwagę na to, iż reklamacye koniecznie muszą być nadesłane w **otwartej** kopercie. Reklamacyi w zamkniętych kopertach niefrankowanych nie przyjmujemy, ponieważ poczta liczy nam za nie podwójne porto.

Redaktor odpowiedzialny Józef Zieliński w Poznaniu.
Czcionkami „Dziennika Poznańskiego“.

Redaktor odpowiedzialny Marjan Hupczyc w Krakowie.